

E.R. Burroughs

**POZA
NAJDALSZĄ
GWIAZDĄ**

**CZEŚĆ
PIERWSZA**

**NA PLANECIE
POLODA**

PROLOG

Braliśmy udział w przyjęciu w Diamond Head. Po kolacji, siedząc na ganku w wygodnych, bujanych fotelach, zaczęliśmy rozmowę o legendach i zabobonach pradawnych mieszkańców Hawajów.

Było wśród nas kilku starszych ludzi półamerykańskiej, półhawajskiej krwi, którzy znali wiele niesamowitych historii. Niewiele mieliśmy do powiedzenia na ten temat. Tym bardziej byliśmy szczęśliwi, że możemy się tym opowieściom przysłuchiwać.

Większość legend hawajskich to raczej zabawne bajeczki dla dzieci, ale zabobony hawajskie na ogół budzą grozę i nie mają nic wspólnego z rdzennymi Hawajczykami.

Nie jestem przesądny, nie wierzę również w duchy. W związku z tym wszystko, co usłyszałem tamtego wieczora, jedynie mnie rozbawiło. Z pewnością również nie mogło mieć żadnego związku z późniejszymi nocnymi wydarzeniami, ponieważ przestałem myśleć o owych niesamowitych historiach natychmiast po opuszczeniu domu znajomych. Właściwie nie wiem, dlaczego o nich wspominam. Może dlatego, że opowiadały o wydarzeniach niezwykłych, a wszystko, co spotkało mnie później, również do takich się zalicza.

Wróciliśmy do domu całkiem wcześniej i już o je-

denastej byłem w łóżku. Nie mogłem zasnąć, więc około północy wstałem myśląc, że popracuję trochę nad szkicem nowego opowiadania, które od pewnego czasu zaprzętało moje myśli.

Usiadłem przed maszyną do pisania i gapilem się w klawiaturę, próbując jednocześnie przypomnieć sobie pomysł, który niegdyś wydawał mi się rewelacyjny, a teraz uciekł, niestety, z mej pamięci.

Tak długo siedziałem patrząc nieruchomo przed siebie, aż w końcu klawisze zaczęły mi się stopniowo zamazywać i zlewać w jedno. Gładki arkusz papieru nieśmiało ukazał się z drugiej strony maszynowego wałka, dziewiczo czysty, nie tknięty jeszcze ręką ludzką.

Właśnie oparłem rękę o tę część ciała, którą niegdyś dumnie mogłem nazwać talią, kiedy wszystko się zaczęło. Palce miałem w odległości zaledwie kilku centymetrów od klawiatury. Nagle klawisze same zaczęły uginać się z nieprawdopodobną szybkością. Jedna linijka za drugą ukazywała się na czystym dotąd papierze. Kto wprawiał te klawisze w ruch? A może co?

Zamrugalem powiekami i potrząsnalem głową przekonany, że musiałem zasnąć przed maszyną do pisania. Jednak to nie było złudzenie. Ktoś lub może coś przekazywało jakieś informacje. Nigdy nie widziałem, aby ktokolwiek tak szybko pisał. Żaden człowiek wcześniej tego nie dokonał.

Przekazuję to wszystko w takiej formie, w jakiej po raz pierwszy zobaczyłem. Nie mogę zagwarantować, że w tej samej postaci dotrze do was. O takich sprawach zawsze decyduje wydawca, a ten nie poprawia jedynie słowa pochodzącego od Boga.

1

Zostałem zestrzelony nad terytorium niemieckim we wrześniu 1939 roku. Zaatakowały mnie trzy meserszmity. Dwa zdażyłem unieszkodliwić, lecz sam również nieźle oberwałem. Wpadłem w korkociąg. Wirując wysoko w podniebnej przestrzeni wreszcie spadłem w objęcia matki Ziemi.

Jak się nazywam? No cóż, to chyba nie ma większego znaczenia. Moja rodzina wciąż jeszcze posiada pewne pury-tańskie cechy odziedziczone po przodkach i do tego stopnia unika publicznego rozgłosu, że nawet pojawienie się wiadomości o mojej śmierci uznałaby z pewnością za fakt graniczący z czymś w bardzo złym guście. Myślę, że rodzina uważa mnie za zmarłego, a więc niech tak będzie. Zostałem prawdopodobnie pochowany przez Niemców.

Przejsście do innego bytu, czy cokolwiek to było, musiało być natychmiastowe, ponieważ wciąż jeszcze czułem zawroty głowy wywołane spadaniem, kiedy otworzyłem oczy i stwierdziłem, że znajduję się w miejscu przypominającym ogród. Wokoło otaczały mnie drzewa, krzewy i wspaniałe kwiaty, rosnące na doskonale utrzymanym ogromnym trawniku. Jednak w tym momencie najbardziej zdumiał mnie fakt, iż ten ogród zdawał się nie mieć końca, rozciągał się hen, aż do linii horyzontu. Poza tym w zasięgu wzroku nie było ani ludzi, ani żadnych zabudowań.

Początkowo byłem nawet z tego bardzo zadowolony,

ponieważ nie miałem na sobie żadnego ubrania. Byłem przekonany, że nie żyję, musiało tak być po tym, co się ze mną stało. Kiedy pocisk z karabinu maszynowego przebija ci serce, żyjesz jeszcze zaledwie około piętnastu sekund, jednak na tyle długo, żeby uświadomić sobie, że to już twój ostatni lot. Wiesz, że to koniec, chyba że wydarzy się jakiś cud. Wciąż wierzyłem, że jakaś siła nadprzyrodzona zachowa mnie jednak dla potomności.

Rozejrzałem się dookoła szukając wzrokiem Niemców i mojego samolotu, lecz nigdzie nie było ich widać. Wtedy po raz pierwszy przyjrzałem się bliżej otaczającym mnie drzewom, krzewom, kwiatom i stwierdziłem, że nigdy jeszcze nie widziałem takich roślin. Niby nie różniły się specjalnie od tych, które znałem, lecz były to jednak zupełnie inne gatunki. W tym momencie stało się dla mnie oczywiste, że musiałem spaść do niemieckiego ogrodu botanicznego. Postanowiłem sprawdzić, jak ciężko jestem ranny. Spróbowałem wstać, co mi się zresztą bez trudu udało. Właśnie miałem sobie pogratulować, że jednak żyję, gdy usłyszałem krzyk kobiety.

Odwrociłem się i napotkałem wzrok dziewczyny utkwiony we mnie. W jej szeroko otwartych oczach malowało się przerażenie. W momencie, kiedy się odwróciłem, ona zrobiła to samo i uciekła. Pobiegnęłam za nią. Znalazłem się w labiryncie gęstych krzewów.

Byłem tym zdarzeniem ogromnie zaintrygowany. Nigdy nie spotkałem takiej dziewczyny i do tego tak dziwnie ubranej. Gdyby to nie był środek dnia, pomyślałbym, że wybiera się na jakiś bal maskowy. Całe jej ciało pokrywały złote cekiny, które sprawiały wrażenie, że są przyklejone bezpośrednio do skóry. Nie da się zaprzeczyć, że wyglądała w tym stroju bardzo atrakcyjnie. Efektowne czerwone buty zakrywały nogi aż do kolan. Twarz o niezwykle białej karnacji kontrastowała z płomiennorudymi włosami. Nie zdążyłem dokładnie przyjrzeć się jej rysom, więc nie mogę

powiedzieć, czy była piękna. Jednak z pewnością nie była Gorgoną.

Gdy znalazłem się w gąszczy krzewów, zacząłem rozglądać się za dziewczyną. Niestety, zniknęła bez śladu. Co mogło się z nią stać? Dokąd uciekła?

Wszędzie dookoła znajdowały się pagórki porośnięte drzewami i różnymi chaszczami. Nie były one zbyt wysokie, miały najwyżej dwa metry. Pokrywały je ze wszystkich stron różnego rodzaju rośliny, tak że same pagórki były ledwo widoczne. W jednym z nich zauważyłem niewielkie wejście. I właśnie wtedy, gdy zastanawiałem się, dokąd ono prowadzi, w polu mego widzenia ujrzałem pięciu mężczyzn. Pojawili się tak nagle, jakby wyszli z mrowiska.

Wszyscy wyglądali tak samo: czerwone cekiny, czarne buty, a na głowach duże, metalowe hełmy, spod których wyglądały pasma jasnych włosów. Ich skóra była tak samo niesamowicie biała jak niedawno spotkanej dziewczyny. Byli uzbrojeni w bagnety i duże rewolwery, które, chociaż nie były pistoletami maszynowymi, wyglądały naprawdę groźnie. Sprawiali wrażenie, jak gdyby kogoś szukali. Miałem dziwne przeczucie, że to właśnie ja byłem obiektem ich poszukiwań. No cóż, należało się tego spodziewać.

Od chwili gdy zobaczyłem piękny ogród i dziewczynę, przypuszczałem, że po śmierci znalazłem się w raju. Jednak teraz, widząc tych mężczyzn ubranych w dziwne, czerwone stroje i obserwując ich zachowanie, pozbyłem się złudzeń.

Byłem bardzo dobrze ukryty. Niewidoczny dla innych, sam miałem idealne pole obserwacji. Kiedy mężczyźni rozpoczęli dokładne przeszukiwanie gąszczy, byłem pewny, że to mnie poszukują i że w końcu znajdą. W tej sytuacji postanowiłem wyjść z ukrycia.

Gdy mnie zauwazyli, zostałem otoczony i jeden z nich zaczął coś do mnie mówić, niestety w języku, którego zupełnie nie rozumiałem. Można go było porównać do japońskiego połączonego z muzyką symfoniczną.

— Czy ja umarłem? — zapytałem.

Spojrzeli na siebie i po chwili znów zaczęli coś do mnie mówić. Niestety, w dalszym ciągu nic z tego nie rozumiałem. W końcu jeden z nich podszedł i ujął mnie mocno za ramię, reszta otoczyła nas i ruszyliśmy w niewiadomym mi kierunku. Spostrzegłem, że ten wspaniały ogród rósł wprost na dachach jakichś dziwnych budynków. Pojawiły się one nagle wokół nas. Były różnej wielkości i kształtu, jednak przy tym niezwykle harmonijne i piękne w swej prostocie. Na ich szczytach rosły drzewa i krzewy, znakomicie maskujące wszystko, co się pod nimi kryło.

— Gdzie ja jestem? — zapytałem. — Czy nikt z was nie mówi po angielsku, francusku, niemiecku, hiszpańsku lub włosku?

Spojrzeli na mnie tępo, najwyraźniej zupełnie nie rozumiejąc mojej mowy, i zaczęli rozmawiać między sobą posługując się czymś, co w ogóle języka nie przypominało. Wszyscy ubrani byli w obcisłe skóry. Patrzyli na mnie z rozbawieniem, nie mogąc przy tym ukryć wyraźnej dezaprobaty dla mego wyglądu. Niektóre kobiety chichotały, wstydliwie zakrywając rękami oczy. W końcu jeden z eskortujących mnie mężczyzn znalazł kawałek jakiejś szmaty i narzucił ją na mnie. Od razu poczułem się pewniej. Nie macie pojęcia, co to znaczy niespodziewanie znaleźć się nago w tłumie obcych ludzi. I wtedy zacząłem się histerycznie śmiać. Moi prześladowcy patrzyli na mnie ze zdumieniem, nie rozumiejąc, co mnie tak rozbawiło. A ja po prostu nagle nabrałem przekonania, że to wszystko jest jakimś koszmarnym snem. Wcale nie byłem w Niemczech, nie zostałem zestrzelony, nigdy nie spotkałem w ogrodzie tej dziwnej dziewczyny. Chciałem za wszelką cenę przerwać ten sen.

— Odejdź! — mówiłem. — Jesteś tylko nocnym koszmarem. Zostaw mnie! — W tym momencie gwizdnąłem

z całych sił, myśląc, że w ten sposób nareszcie się obudzę. Jednak nic z tego. To nie był, niestety, sen.

Na dowód tego poczułem, jak kilku mężczyzn złapało mnie za ramiona i popchnęło w stronę pomieszczenia, gdzie za biurkiem siedział starszy mężczyzna. Miał na sobie skórzany strój usiany czarnymi błyskotkami, a na nogach dziwne białe buty. Ci, którzy mnie pochwycili, zaczęli mu coś szczegółowo opowiadać. Mężczyzna spojrział na mnie i potrząsnął przecząco głową. Następnie wydał im jakieś polecenie, po czym zabrano mnie do innego pomieszczenia, gdzie stała przygotowana klatka. Zostałem do niej wepchnięty i przykuty łańcuchem.

2

Nie będę was zanudzał tym, co wydarzyło się podczas sześciu kolejnych tygodni. Wspomnę tylko, że dużo nauczyłem się od Harkas Yena (tak nazywał się starszy mężczyzna, pod którego opieką mnie pozostawiono). Okazało się, że był psychiatrą i miałem być obiektem jego obserwacji.

Po złożeniu meldunku na policji przez dziewczynę spotkaną w ogrodzie i aresztowaniu mnie wszyscy byli przekonani, że jestem szalony.

Harkas Yen nauczył mnie swego języka. Nie trwało to zbyt długo, ponieważ miałem zdolności językowe. W dzieciństwie dużo podróżowałem po Europie, chodziłem do szkół we Francji, Włoszech i Niemczech, podczas gdy mój ojciec pełnił obowiązki attache wojskowego w przedstawicielstwach zagranicznych. Tak więc miałem znakomitą okazję do doskonalenia znajomości różnych języków.

Kiedy Harkas Yen odkrył, że język, którym się posługuję, jest w jego świecie zupełnie nieznanym, zaczął dokładnie o wszystko mnie wypytywać. W końcu uwierzył w dziwną historię, którą mu opowiedziałem o niezwykłym przejściu z mojego do ich świata. Nie wierzę w wędrówkę dusz, reinkarnację czy metempsychozę; Harkas Yen również. Jednak tego, co się ze mną stało, nie potrafiliśmy wyjaśnić w żaden racjonalny sposób.

Do niedawna mieszkałem na Ziemi, planecie, o której

Harkas Yen nigdy nie słyszał; teraz znalazłem się na Polodzie, planecie, o której ja nigdy dotąd nie słyszałem. Mojego języka nikt na Polodzie nie znał, ja również nie znałem żadnego z pięciu głównych języków używanych w tym dziwnym świecie.

Po kilku tygodniach Harkas Yen wypuścił mnie z klatki i umieścił w swoim domu. Zdobył dla mnie kostium wyszywany brązowymi cekinami oraz parę brązowych butów. Mogłem swobodnie poruszać się po domu, lecz nie miałem prawa go opuścić, bez względu na to, czy znajdował się na powierzchni, czy zapadał się, przy pomocy specjalnych urządzeń, pod ziemię. A zdarzało się to przynajmniej raz w ciągu doby, o czym informował ryk syren i detonacje bomb. Zapytałem Harkasa Yena, co to wszystko znaczy.

— Kaporzy — to była cała jego odpowiedź.

Kiedy już nauczyłem się języka mieszkańców Polody na tyle, by móc się nim posługiwać swobodnie, Harkas Yen oświadczył mi, że niedługo będę poddany próbie.

— Jakiej próbie? — zapytałem.

— No cóż, Tangor — odpowiedział. — Musimy się przekonać, kim właściwie jesteś: szpiegiem, szaleńcem, czy też kimś równie niebezpiecznym dla nas, mieszkańców Unisu. Musimy również podjąć decyzję, co z tobą uczynić. Być może, dla dobra Unisu, trzeba będzie się ciebie pozbyć.

Tangor to było imię, którym nazwał mnie mój opiekun. Dokładnie znaczyło „znikąd” i, jak stwierdził Yen, doskonale określało moje pochodzenie, ponieważ przybyłem z planety, która według nich w ogóle nie istniała.

Unis to nazwa kraju, do którego zostałem przeniesiony w tak nieoczekiwany dla mnie sposób. Z pewnością nie było to ani niebo, ani piekło, z wyjątkiem chwil, kiedy Kaporzy atakowali nas zrzucając bomby.

Nadszedł wreszcie dzień, który miał
zdecydować

o moim życiu. Na rozprawie przeciwko mnie było trzech sędziów oraz publiczność, to znaczy dziewczyna, która mnie wykryła, pięciu policjantów, którzy mnie pojмали, Harkas Yen, jego syn Harkas Don, jego córka Harkas Yamoda oraz jego żona. Nieco później zauważyłem jeszcze siedmiu innych zupełnie mi nie znanych starszych mężczyzn z imponującymi siwymi brodami. Na Polodzie noszenie przez mężczyzn brody nie jest niczym nadzwyczajnym, chociaż prawo to przysługuje mężczyznom dopiero po osiągnięciu przez nich pełnoletności. Sędziowie, którzy mieli wydać na mnie wyrok, odznaczali się piękną postawą, ubrani byli w szare cekinowe stroje i szare obuwie. Wyglądali bardzo dostojnie.

Wszyscy sędziowie w Unisie wybierani są przez rząd po uzyskaniu rekomendacji przez organizację, której odpowiedzialnikiem w Ameryce jest Stowarzyszenie Prawników. Mogą być pociągnięci do odpowiedzialności przez specjalny trybunał. Urząd swój sprawują bez przerwy aż do osiągnięcia siedemdziesiątego roku życia, po czym mogą być ponownie powołani na to stanowisko pod warunkiem uzyskania poparcia Stowarzyszenia Prawników.

Rozprawa rozpoczęła się typowym rytuałem. Gdy sędziowie weszli na salę, wszyscy wstali z miejsc. Następnie razem z sędziami wyrecytowali „Na honor i chwałę Uni-su”. Po czym zostałem wprowadzony do ławy oskarżonych, że użyję tego określenia, i jeden z sędziów poprosił mnie o podanie imienia i nazwiska.

— Zwą mnie Tangor — odpowiedziałem.

— Skąd pochodzisz?

— Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki.

— Gdzie to jest?

— Na planecie Ziemia.

— Gdzie jest ta planeta?

No to teraz mnie załatwiliście — pomyślałem.

:— Gdybyśmy znajdowali się na Merkury, Wenus,

Marsie czy jakiejś innej planecie układu słonecznego, mógłbym wam odpowiedzieć na to pytanie. Ale ja nie mam zielonego pojęcia, gdzie się znajduje Poloda. Jak wobec tego mam wyjaśnić, gdzie jest moja planeta? Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

— Dlaczego pojawiłeś się nago w pobliżu Orvis? —
ostrym głosem zapytał jeden z sędziów.

Orvis to nazwa miasta, gdzie znalazłem się po zestrzeleniu.

— Czy to możliwe, żeby mieszkańcy miejsca, które zwiesz Ameryką, nie nosili w ogóle ubrania?

— Ależ noszą, Najwyższy Sędzio — odpowiedziałem. Harkas Yen pouczył mnie, jak należy zwracać się do sędziów w czasie procesu. — Lecz wybór ubrania zależy od indywidualnych upodobań oraz warunków zewnętrznych, na przykład pory roku, pory dnia czy też temperatury powietrza. Widziałem mężczyzn w podeszłym wieku, spacerujących w miejscu o nazwie Palm Springs jedynie w szortach oraz piękne kobiety, prawie nagie, na rozległych nadmorskich plażach, i tych samych mężczyzn i kobiety, w innych sytuacjach, ubranych z wyrafinowanym smakiem w wytworne garnitury i piękne wieczorowe toalety. I chociaż nasze kobiety bywają bardzo skąpo ubrane, to jednak muszę przyznać, Najwyższy Sędzio, że nigdy nie widziałem kostiumu, który by tak wiele odsłaniał, jak te noszone przez piękne mieszkanki Orvis. Jeśli chodzi natomiast o odpowiedź na twoje następne pytanie, to zjawiłem się nago w Orvis niezależnie od mojej woli. Nie miałem na sobie żadnego stroju już w momencie nagłego pojawienia się na waszej planecie.

— Proszę wybaczyć na moment — wtrącił sędzia, który zadał mi to pytanie. Następnie odwrócił się w stronę grupy siedmiu starszych mężczyzn i poprosił ich o zajęcie stanowiska w kilku kwestiach, które były przedmiotem rozprawy.

Kiedy zostali zaprzysiężeni, główny sędzia zapytał, czy mogą umiejscowić planetę nazwaną przeze mnie Ziemią.

— Przesłuchaliśmy Harkas Yena, który poddał obserwacji oskarżonego — odpowiedział najstarszy z siedmiu ekspertów. — I oto nasze wnioski. — Po czym nastąpił długi astronomiczny wykład. — Uważamy, iż ten człowiek — stwierdził na zakończenie — pochodzi z systemu słonecznego, który znajduje się poza zasięgiem naszych najpotężniejszych teleskopów i który prawdopodobnie jest oddalony od Canapy o około dwadzieścia dwa tysiące lat świetlnych.

Już ta informacja mogła przyprawić o zawrót głowy, lecz dopiero dane przekazane przez Harkas Yena uświadomiły mi, jak daleko znalazłem się od Ziemi. Harkas Yen powiedział, że Canapa to nic innego jak Globular Cluster N.G.C. 7006, który oddalony jest od Ziemi o jakieś dwieście dwadzieścia tysięcy lat świetlnych, a nie tylko o nędzne dwadzieścia dwa tysiące. Poloda natomiast znajduje się w odległości dwustu trzydziestu tysięcy lat świetlnych od Canapy. Wynikało więc stąd, że byłem oddalony od Ziemi o jakieś czterysta pięćdziesiąt lat świetlnych. Pamiętając, że prędkość światła wynosi dokładnie trzysta tysięcy km/sek, można wyliczyć, jak daleko od Ziemi znajduje się Poloda. Gdyby teleskopy na Polodzie były na tyle silne, aby zobaczyć, co się dzieje na Ziemi, to otrzymany obraz pochodziłby sprzed czterystu pięćdziesięciu tysięcy lat.

Po wysłuchaniu opinii ekspertów sąd przystąpił do przesłuchania świadka Balzo Maro. Była to ta dziewczyna, którą spotkałem pierwszego dnia w ogrodzie. Sędziowie szczegółowo ją o to spotkanie wypytywali.

— A więc oskarżony nie miał na sobie żadnego ubrania? — brzmiało pierwsze pytanie.

— Żadnego — odpowiedziała Balzo Maro.

— Czy... nie usiłował cię skrzywdzić?

— Nie.

— Wiesz o tym — zapytał jeden z sędziów — że byłoby to ciężkie przestępstwo, za które grozi najwyższy wymiar kary?

— Tak, wiem — powiedziała Balzo Maro. — Lecz on naprawdę nic złego mi nie uczynił. Obserwowałam go, ponieważ podejrzewałam, że to szpieg Kaparów, lecz teraz jestem przekonana, iż jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje.

Byłam gotów uściskać ją za to, co przed chwilą powiedziała. Teraz sędziowie zwrócili się do mnie.

— Stoimy przed trudnym zadaniem podjęcia decyzji o twoim losie. Jeśli zostaniesz skazany, trzeba będzie cię zlikwidować lub na jakiś czas uwięzić. Ale od stu jeden lat trwa wojna i uwięzienie ciebie nie wchodzi w grę, gdyż taki wyrok byłby równoznaczny z wyrokiem śmierci. Chcemy poza tym uczciwie stwierdzić, iż nic przeciwko tobie nie mamy, poza jednym, że zjawiłeś się tu jako ktoś zupełnie obcy i w dodatku nie mówiący żadnym ze znanych na Po-łodzie języków.

— A więc uwolnijcie mnie i pozwólcie służyć Unisowi, w walce z jego wrogami.

3

Sędziowie naradzali się jakieś dziesięć minut, po czym oświadczyli, że ostateczną decyzję o moim losie podejmie Janhai. Do tego czasu będę pod opieką Harkas Yena. Dowiedziałem się, że dostąpiłem olbrzymiego zaszczytu, ponieważ Janhai, rządzący całym Unisem, zajmuje się tylko sprawami najwyższej wagi państwowej. Wyglądało na to, że moja sprawa znalazła się w rękach kogoś takiego, jak prezydent Stanów Zjednoczonych czy też król Anglii.

Janhai jest to organ władzy składający się z siedmiu mężczyzn sprawujących urząd od momentu wyborów aż do siedemdziesiątego roku życia. Kadencja ich może być przedłużona, jeżeli zostaną ponownie wybrani.

Słowo „Janhai” składa się z dwóch członów: Jan oznacza siedem, a hai — wybierać. Wybory zarządza się tylko wtedy, gdy trzeba uzupełnić skład Janhai. Wszystkie stanowiska, będące odpowiednikami gubernatorów stanów w Ameryce, obsadza Janhai. Z kolei mianowani przez Janhai gubernatorzy wybierają wszystkich pozostałych, stanowych czy prowincjonalnych urzędników oraz burmistrzów miast, którzy wyznaczają urzędników komunalnych.

— W Unisie nie ma żadnych partii politycznych. Każdy członek Janhai stoi na czele departamentu, których w Unisie jest siedem. Są to: departament wojny, spraw zagranicznych, handlu, spraw wewnętrznych, edukacji, skarbu i sprawiedliwości.

Tych siedmiu mężczyzn co sześć lat wybiera spośród siebie Eljanhai, czyli Naczelnego Komisarza. Jest on władcą Unisu, lecz tylko przez jedną kadencję. Kandydujący do Janhai, jak i do pozostałych urzędów, poddawani są bardzo dokładnemu testowi sprawdzającemu poziom inteligencji i zasób wiedzy, przy czym bardziej ceni się inteligencję.

Nie ma sensu porównywać tego systemu z naszym w Stanach, jako że, o paradoksie, u nas kandydat na prezydenta teoretycznie może nie umieć pisać ani czytać. Nawet skończony idiota może ubiegać się o prezydenturę i sprawować ten urząd, jeśli, oczywiście, zostanie wybrany.

Po zakończeniu mojej rozprawy miały się jeszcze odbyć dwie następne. Harkas Yen koniecznie chciał być na nich obecny. Pierwsza była sprawą o morderstwo. Oskarżony postanowił, że jego rozprawa odbędzie się bez udziału ławy przysięgłych i w obecności tylko jednego sędziego.

— On jest albo w ogóle niewinny, albo zabójstwo było uzasadnione — odezwał się Harkas Yen. — Zazwyczaj, kiedy oskarżony jest winny, to prosi o rozprawę z udziałem ławy przysięgłych.

W przypływie rozpaczony mężczyzna ten zabił człowieka, który rozbił jego rodzinę. W ciągu piętnastu minut został osądzony i uniewinniony.

Druza sprawa dotyczyła burmistrza małego miasteczka. Został on oskarżony o przyjęcie łapówki. W tym wypadku rozprawa trwała około dwóch godzin, przy udziale ławy przysięgłych złożonej z pięciu osób. W Ameryce tego typu sprawa ciągnęłaby się prawdopodobnie jakieś dwa miesiące. Sędzia zwrócił uwagę stronom procesowym, aby trzymały się ściśle faktów i dowodów. Narada ławy przysięgłych trwała piętnaście minut, po czym ogłoszony został wyrok: winny, skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok miał być wykonany rankiem piątego dnia. Dawało to skazanemu możliwość odwołania się od wyroku do sądu wyższej instancji, składającego się z pięciu sędziów.

W Unisie tempo załatwiania wszystkich spraw było naprawdę imponujące. Harkas Yen powiedział mi, że sąd apelacyjny dokładnie zapozna się ze sprawą, lecz prawdopodobnie zatwierdzi wyrok niższej instancji, chyba że obrońca oskarżonego oświadczy pod przysięgą, iż dostarczy nowy dowód rzeczowy, oczyszczający jego klienta z winy. Jeżeli takie oświadczenie zostanie złożone przez adwokata, a nowy dowód nie zdoła zmienić wyroku, wtedy adwokat traci prawo do wynagrodzenia i dodatkowo musi ponieść wszystkie koszty sądowe drugiego procesu.

W Unisie wysokość wynagrodzenia prawników, tak jak lekarzy, jest określona odpowiednimi przepisami prawa, przy czym bogaty płaci nieco więcej niż biedny, ale nie wolno tu dopuścić do zdzierstwa. Jeżeli oskarżonego nie stać na opłacenie obrońcy, otrzymuje obrońcę z urzędu. To samo dotyczy usług służby zdrowia.

Po zakończeniu ostatniego procesu Harkas Yen, jego córka, syn i ja udaliśmy się do domu. Właśnie gdy wchodziliśmy do windy, usłyszeliśmy jęk syren i poczuliśmy, jak konstrukcja budynku się załamuje. Miałem dokładnie to samo uczucie, jak wtedy, gdy zjeżdżałem windą ze sto drugiego piętra w Empire State Building.

Gmach Sprawiedliwości, w którym odbywały się rozprawy sądowe, miał dwadzieścia pięter wysokości i zapadał się w głąb ziemi podczas dwudziestu sekund. Niedługo potem usłyszeliśmy działa przeciwlotnicze i huk potwornych detonacji.

— Jak długo trwa ta dziwna wojna? — zapytałem.

— Dłużej niż ja jestem na tym świecie — odpowiedział Harkas Yen.

— To już sto pierwszy rok trwania tej wojny - wtrącił Harkas Don, syn Yena. — Poza tym nic więcej nie wiemy — dodał z uśmiechem.

— To wszystko zaczęło się mniej więcej wtedy, gdy urodził się twój dziadek — kontynuował Harkas Yen.

— Twój pradziadek jeszcze jako chłopiec, a później młody mężczyzna, żył w szczęśliwych czasach. Wtedy ludzie mieszkali i pracowali na powierzchni naszej planety. Bogate, tętniące życiem miasta powstawały jak grzyby po deszczu. Kiedy Kaparzy rozpoczęli podbój planety, w ciągu dziesięciu lat wszystkie miasta na Polodzie legły w gruzach. Właśnie wtedy rozpoczęliśmy budowę podziemnych miast, które mogą się wynurzać i ponownie zapadać pod powierzchnię ziemi dzięki energii, którą czerpiemy z Omos (słońce Polody). Kaparzy opanowali prawie całą Polodę, lecz to my byliśmy i wciąż jeszcze jesteśmy najbogatszym narodem na naszej planecie. Zniszczyliśmy się nawzajem, to prawda, lecz oni są od nas o wiele gorsi. Mieszkają w ogromnych, podziemnych blokowiskach z betonu i żelaza. Żywność zdobywają zmuszając do niewolniczej pracy podbite narody. Mają także żywność wytwarzaną syntetycznie i sztuczne są tkaniny, z których szyją stroje. Cała ich produkcja nastawiona jest na potrzeby wojenne. Nasze naloty na ich tereny są tak intensywne, a bombardowania tak skuteczne, że ich ziemia od dawna stała się bezpłodna. Lecz Kaparzy nie chcą się poddać, ponieważ wojna jest sensem ich istnienia, a cel, jaki sobie postawili, to całkowite zniszczenie Unisu.

4

.Harkas Yen zaproponował mi, abym pozostał w jego domu do czasu, aż nadejdzie decyzja dotycząca moich dalszych losów. Pojechalismy koleją podziemną, która biegła na głębokości trzydziestu metrów. Z powodu niedawnego nalotu wiele budynków znajdowało się wciąż pod powierzchnią ziemi. Te, które miały więcej niż sto pięter, posiadały dwa wejścia: jedno na parterze, drugie na setnym piętrze. Mniejsze budynki podnosiły się i opadały w głąb ziemi za pomocą dźwigów podobnych do wind. Nad każdym budynkiem znajdowała się specjalna metalowa konstrukcja, która podtrzymywała pokłady ziemi porośnięte drzewami, krzewami i trawą. Mniejsze domy w czasie podnoszenia bezpośrednio przylegały do metalowej konstrukcji.

Jadąc przez miasto zauważyłem, że wiele budynków wznosiło się na wysokość stu i więcej pięter. **Harkas** Yen wyjaśnił mi, że projektanci tego miasta byli przekonani, iż wojna nie potrwa długo i życie szybko wróci do normy. Niestety, rachuby te zupełnie zawiodły i trzeba było przystąpić do budowy podziemnych miast. Janhai Unisu decyzję tę podjął mniej więcej osiemdziesiąt lat temu, mimo to budowa wciąż jeszcze trwa. Setki tysięcy obywateli Unisu w dalszym ciągu mieszkają w zupełnie nie nadających się do tego celu szopach lub po prostu w jaskiniach czy też dziurach wykopanych wprost w ziemi.

— Wciąż ponosimy ogromne wydatki związane z budową podziemnych miast — kontynuował Harkas Yen — co zmusza nas, jak zauważyłeś, do noszenia ubrań z plastiku, do złudzenia przypominających metal. Nikt, nawet członek Janhai, nie może posiadać więcej niż trzy ubrania, w tym jeden kombinezon roboczy, ponieważ wszystkie środki przeznacza się na budowę miast i prowadzenie wojny. Nie możemy sobie pozwolić na dostosowanie się do każdego trendu w modzie tylko ze względu na głupią próżność, tak jak to było sto lat temu. Chyba jedyną rzeczą, która w nas przetrwała z tych odległych czasów, jest nasza kultura. Zobojętnienie na sztukę, muzykę czy literaturę oznacza obumieranie kultury.

— Takie życie jest chyba nie do zniesienia — wtrąciłem. — Szczególnie dla kobiet. Czy wy nie macie żadnych rozrywek?

— Ależ mamy — odpowiedział. — Lecz nie są one wyszukane. Nie poświęcamy im zbyt wiele uwagi. Nasi przodkowie, którzy żyli sto lat temu, uznaliby takie życie za bardzo nudne. Oni większość swego czasu poświęcali pogoni za przyjemnościami i stało się to zapewne jedną z głównych przyczyn wielkich zwycięstw Kaporów nad nami, szczególnie w pierwszej fazie działań wojennych. W rezultacie prawie wszystkie narody na Polodzie zostały ujarzmione przez Kaporów.

Wszystkie samochody w Unisie są takie same. Każdy mieści cztery osoby — w wersji komfortowej, sześć osób — w wersji popularnej. Dzięki takiej unifikacji osiągnięto znaczne oszczędności dotyczące i nakładu pracy, i materiałów. Samochody napędzane są energią słoneczną przekazywaną przy pomocy fal radiowych z centralnych rozdzielni, gdzie jest magazynowana. Ponieważ źródło tej energii jest praktycznie niewyczerpalne, nie ma powodów do zmniejszenia liczby użytkowanych samochodów.

To samo źródło energii wykorzystywane jest do pracy

olbrzymich pomp kanalizacyjnych, mechanizmów, za pomocą których wznoszone i obniżane są budynki, oraz do funkcjonowania klimatyzacji.

Byłem wręcz przerażony, gdy dotarło do mnie, z jakimi kosztami wiąże się ten ogrom prac związanych z budową całego podziemnego świata. Gdy głośno wyraziłem swoje wątpliwości, Harkas Yen zauważył:

— Zasoby materialne świata są ograniczone. Właściwie to, co było do zdobycia, już uzyskaliśmy. Jedynym bogactwem, które nigdy się nie wyczerpie, jest bogactwo tkwiące w nas od chwili narodzin. Tylko dzięki potędze umysłu naszych naukowców i geniuszowi naszych przywódców, jedności narodu i pracy w pocie czoła osiągnęliśmy to, co teraz mamy.

W drodze z Gmachu Sprawiedliwości do domu towarzyszyli nam Don i Yamoda, syn i córka Harkas Yena. Yamoda miała na sobie strój ze złotych cekinów i czerwone buty, które nosiły wszystkie niezamężne kobiety. Don natomiast był w niebieskim uniformie Sił Zbrojnych. Doskonale się z nim porozumiewałem, ponieważ obydwaj byliśmy lotnikami i interesowała nas wymiana wojennych doświadczeń. Don obiecał wprowadzić mnie do lotnictwa Unisu. Harkas Yen zapewniał, że nie będzie z tym problemów, jako że stale potrzebni są nowi lotnicy, którzy zastąpiliby poległych w walkach powietrznych. Czasami ich liczba dochodzi podobno do pięciuset tysięcy w ciągu miesiąca.

Gdy Harkas Yen po raz pierwszy podał mi te dane, zupełnie mnie one oszołomiły. Zapytałem więc, jak to jest możliwe, że ich naród jeszcze istnieje.

— No, wiesz — odpowiedział. — Te dane są z pewnością wyolbrzymione. Myślę, że miesięcznie tracimy średnio sto tysięcy mężczyzn. W Unisie żyje około szesnastu milionów kobiet i co rok przychodzi na świat jakieś dziesięć milionów nowych obywateli. Prawdopodobnie nieco

więcej niż połowa to chłopcy. Przynajmniej pięć milionów z nich osiąga wiek dojrzały, ponieważ jesteśmy wyjątkowo zdrowym społeczeństwem. Więc, jak widzisz, możemy sobie pozwolić na utratę miliona ludzi rocznie.

— Nie wydaje mi się, ażeby matki mogły się z tym pogodzić — zauważyłem.

— Dla nas wszystkich jest to bardzo bolesne — odpowiedział — ale trwa wojna i nic nie możemy na to poradzić.

— W mojej ojczyźnie — powiedziałem — istnieje organizacja tak zwanych pacyfistów i oni często śpiewają: „Nie wychowujemy naszych synów na żołnierzy”.

Harkas Don roześmiał się i powiedział coś w tym rodzaju:

— Gdyby nasze matki śpiewały pieśń, pewno brzmiałyby ona: „Nie wychowujemy naszych synów na próżniaków”.

Żona Harkas Yena bardzo się ucieszyła z mojego powrotu do domu. Od początku traktowała mnie serdecznie, nazywając przybranym synem. Była to kobieta o surowej twarzy, lat około sześćdziesięciu. Za mąż wysłała mając siedemnaście lat, urodziła dwadzieścioro dzieci: sześć córek i czternastu synów, z których trzynastu zginęło na wojnie. Starsi ludzie w Unisie mają na ogół smutne twarze, na których widać cierpienie, ale zazwyczaj nie narzekają i nie płaczą. Żona Harkas Yena powiedziała, że ich łzy wyschły przynajmniej dwa pokolenia wcześniej.

Nie wstąpiłem do lotnictwa. Otrzymałem przydział do Oddziałów Robót Publicznych. Od dawna zastanawiałem się, jak Unisianie dają sobie radę ze zniszczeniami dokonywanymi przez nieustanne bombardowania. Odpowiedź na to pytanie znalazłem już pierwszego dnia pracy.

Natychmiast po zakończonym ataku kaparskich bombowców wybiegaliśmy jak mrówki z dziur ukrytych w ziemi

i zabieraliśmy się do pracy. Były nas tysiące. Wspomagały nas ciężarówki, mechaniczne koparki, zgrabiarki oraz pomysłowe urządzenia wyciągające drzewa z ziemi razem z korzeniami. Najpierw wypełnialiśmy kratery po bombach, próbując ocalić możliwie najwięcej gatunków roślin i drzew. Ciężarówki przywoziły darninę, nowe drzewa i rośliny, które zostały wyhodowane pod ziemią. I w ciągu kilku godzin wszelkie ślady ataku powietrznego były likwidowane.

Nie mogłem zrozumieć sensu wykonywania tej pracy. Jednak jeden z moich kolegów wyjaśnił, że istnieją co najmniej dwa poważne powody takiego postępowania. Pierwszy to podtrzymanie ducha Unisan, a drugi złamanie ducha wroga.

Pracowaliśmy dziewięć dni, a dziesiąty mieliśmy wolny, jako że tutejszy tydzień ma dziesięć dni. W zależności od potrzeby zatrudniano nas na ziemi albo pod jej powierzchnią. Nie byłem przyzwyczajony do pracy fizycznej, mimo to w ciągu miesiąca wykonałem robotę, która przeciętnemu człowiekowi zabrałaby całe życie.

Pewnego dnia, kiedy obydwaj mieliśmy wolne, Harkas Don zaproponował mi wyprawę w góry. Wraz z Yamodą zgromadzili dwanaścioro uczestników wycieczki. Trzech było z Oddziałów Roboczych, trzech innych z Oddziałów Obrony Powietrznej. Wśród dziewcząt były córka prezydenta Eljanhai, córka oficera armii, córka rektora uniwersytetu, dwie córki robotników z Oddziałów Roboczych oraz Yamoda. Smutek i cierpienie, spowodowane nie kończą się wojną, zjednoczyły naród, likwidując wszelkie bariery klasowe.

Orvis położone jest na płaskowyżu otoczonym górami. Najbliższe ich pasmo znajduje się około stu sześćdziesięciu kilometrów od miasta. Właśnie tam zamierzaliśmy pojechać podziemną koleją. Wznosiły się tu najwyższe szczyty

górskie. Ponieważ góry na wschodnim krańcu płaskowyżu są niższe, a szeroka przełęcz przecina je od strony zachodniej, Kaparzy zawsze nadchodzą od wschodu lub od zachodu. My również zaplanowaliśmy wycieczkę w tym właśnie rejonie. Cóż to było za cudowne uczucie oddychać świeżym powietrzem, czuć na sobie promienie słońca i nie być zmuszonym do wykonywania tej ciężkiej, monotonnej roboty!

Przybyliśmy na miejsce. Rozejrzałem się dookoła. Widok był niezapomniany. Równinę przecinały liczne górskie potoki. Znajdowało się tu również niewielkie jezioro, nad którym postanowiliśmy zorganizować piknik, wykorzystując do tego malowniczą kepe drzew. Wybraliśmy ten zagajnik wierząc, że ukryje nas przed wrogimi samolotami. Od czterech już pokoleń naturalnym odruchem mieszkańców Unisu jest świadomość możliwości natychmiastowego schronienia się w chwili, gdy znajdą się na otwartej przestrzeni.

Ktoś zaproponował kąpiel w jeziorze.

— Niczego bardziej nie pragnę — odpowiedziałem. — Lecz niestety nie mam ze sobą właściwego stroju.

— Co masz na myśli? — zapytała Yamoda.

— No, jak to... jakieś ubranie, kostium kąpielowy.

Wszyscy w tym momencie wybuchnęli śmiechem.

— Ten strój masz już na sobie i to od urodzenia — odpowiedział Harkas Don.

Przez kilka miesięcy spędzonych pod ziemią straciłem prawie całą opaleniznę. Jednak w porównaniu z tutejszymi ludźmi o niesamowicie białej karnacji, od czterech pokoleń jak krety żyjących pod ziemią, byłem wciąż bardzo ciemny. Moje czarne włosy kontrastowały z rudymi włosami kobiet i jasnymi mężczyzn.

Woda była cudownie orzeźwiająca. Gdy z niej wyszliśmy, nasze apetyty były prawdziwie wilcze. Po obfitym po-

silku rozłożyliśmy się na trawie i moi współtowarzysze zaczęli śpiewać swoje ulubione piosenki. Czas szybko mijał i ani się spostrzeżliśmy, gdy trzeba było wracać do domu.

Kiedy jeden z mężczyzn wstał, nagle usłyszeliśmy strzał. Mężczyzna padł martwy. Jedyne trzech żołnierze, którzy byli z nami, mieli przy sobie broń. Kazali nam położyć się twarzami do ziemi, a sami poczołgali się w stronę, skąd padł strzał. Szybko zniknęli w zaroślach i po chwili dobiegły nas odgłosy walki. Doszedłem do wniosku, że nie wolno mi spokojnie leżeć w ukryciu, podczas gdy tam Harkas Don i jego ludzie toczą śmiertelną walkę. Zacząłem pełznąć w ich kierunku.

Dotarłem do nich na skraju niewielkiego zagłębienia, w którym ukryło się około dwunastu ludzi. Za nimi wznosiła się ściana skalna, która wprawdzie zabezpieczała od ataku z tyłu, ale jednocześnie odcinała odwrót. Harkas Don i jego ludzie znajdowali się w zagajniku niezbyt skutecznie chroniącym przed kulami. Za każdym razem, gdy któryś z nieprzyjaciół pojawiał się choć na chwilę w polu widzenia naszej trójki, natychmiast ktoś z nich strzelał. W pewnym momencie jeden z ukrywających się zbyt mocno wychylił się do przodu i kula któregoś z naszych chłopców trafiła go w głowę. Byłem na tyle blisko, że dokładnie widziałem, jak pocisk, przebijając czoło, pozostawił ogromną dziurę. Dopiero po chwili mężczyzna runął całym ciężarem do tyłu. W miejscu, gdzie upadł, gęste drzewa i zarośla zasłaniały dalszą część ściany skalnej. To nasunęło mi pewien pomysł, który postanowiłem natychmiast zrealizować. Cofnąłem się kilka metrów w zarośla; cały czas pełznąć, ostrożnie przesunąłem się w prawo. Korzystając z idealnego ukrycia odwróciłem się, aż znalazłem się twarzą do lewego skrzydła oddziału wroga. Wtedy wolniutko, centymetr po centymetrze, zacząłem się czołgać w kierunku skraju zarośli, gdzie znalazłem ciało zabitego mężczyzny.

Nieco dalej przy skalnej ścianie wyraźnie widziałem te-

raz jego towarzyszy. Wszyscy mieli na sobie płowoszare kombinezony, które wyglądały jak chałaty. Szare metalowe hełmy okrywały głowy i szyje, pozostawiając widoczne jedynie twarze. Na biodrach każdy z nich miał pas wypełniony zapasowymi nabojami. Cera Kaparów była ziemista, o niezdrowym wyglądzie. I chociaż byłem przekonany, że muszą to być młodzi ludzie, wyglądali zdecydowanie staro. Byli pierwszymi Kaparami, których miałem okazję widzieć. Jednak rozpoznałem ich natychmiast, mając w pamięci szczegółowy opis przekazany mi przez Harkas Dona i innych mieszkańców Unisu.

Pistolet zabitego mężczyzny (właściwie był to mały karabin maszynowy) leżał z boku, a jego magazynek był prawie pełny. Z miejsca, w którym się znajdowałem, miałem doskonałe pole widzenia. Przesunąłem się do przodu jeszcze parę centymetrów i wtedy jeden z Kaparów odwrócił się i spojrzał w moją stronę. W pierwszej chwili myślałem, że mnie zauważył, ale szybko zorientowałem się, że patrzy na swego zabitego kolegę. Następnie znowu się odwrócił i powiedział coś do swoich kompanów w języku, którego nie rozumiałem. Brzmiało to podobnie jak chrząkanie świń podczas jedzenia. Jeden z Kaparów w odpowiedzi kiwnął potakująco głową i mężczyzna ten skierował się w stronę zabitego.

Wyglądało na to, że cały mój plan wziął w łeb. Miałem właśnie w desperackim ruchu wyciągnąć rękę po leżącą broń, gdy Kapar nieoczekiwanie wysunął głowę ponad skałę i już po chwili runął na ziemię z kulą w głowie. Pozostali Kaparzy spojrzeli na niego i z wściekłością zaczęli coś do siebie szwargotać. W tym czasie wysunąłem rękę przez zarośla, sięgnąłem po pistolet i wolno zacząłem go do siebie przysuwać. Kaparzy wciąż się kłócili czy też o czymś zaciekle dyskutowali, gdy wymierzyłem w jednego z nich i wystrzeliłem. Czterech z dziesięciu padło, zanim reszta zorientowała się, skąd padają strzały. Dwóch zaczęło mierzyć

w zarośla, w których byłem ukryty, ale już wkrótce oni też padli martwi. Pozostała czwórka zaczęła uciekać. W efekcie, pod zmasowanym wspólnym ostrzałem moim i Uni-san, również z pozostałymi Kaparami daliśmy sobie radę. Wypełnzałem z zarośli, aby rozejrzeć się w sytuacji. Obawiałem się wstać, ponieważ zbyt duże było ryzyko, że moi przyjaciele, zanim mnie rozpoznają, wpierw do mnie strzelą. Zdecydowałem się zawołać Harkas Dona po imieniu. Zareagował natychmiast.

— Ktoś ty? — brzmiało pytanie.

— Tangor — odpowiedziałem. — Wychodzę, nie strzelajcie.

Po chwili podeszli do mnie i razem udaliśmy się na poszukiwanie samolotu Kaparów. Wiedzieliśmy, że musi być gdzieś w pobliżu. Znaleźliśmy go na małej polance, jakieś pół kilometra od miejsca, gdzie ich zastrzeliliśmy. W samolocie nie było nikogo. W ten sposób upewniliśmy się, że nikt z nich nie ocalał.

— A więc nasz stan posiadania powiększył się o dwaście pistoletów, mnóstwo amunicji i jeden samolot — odezwał się.

— Zabierzemy ze sobą tylko broń i amunicję — powiedział Harkas Don. — Samolotu nie da się sprowadzić do Orvis, ponieważ natychmiast zostalibyśmy zestrzeleni.

Znalazł wewnątrz samolotu jakiś ciężki przedmiot i rozbił nim silnik maszyny.

W ten sposób zakończyła się nasza wyprawa. Wróciliśmy do domu, zabierając ze sobą ciało tragicznie zmarłego kolegi.

Następnego dnia, gdy ładowałem śmieci na specjalny wózek wjeżdżający do pieca, w którym spalano miejskie nieczystości, do naszego szefa podszedł jakiś chłopak ubrany w żółty kostium z cekinów i coś mu powiedział. Po wysłuchaniu go szef zwrócił się do mnie.

— Masz niezwłocznie zgłosić się w Biurze Komisarza Wojny. Ten posłaniec cię zaprowadzi.

— Może będzie lepiej, jeśli się najpierw przebiorę? — zapytałem. — Sądzę, że nie pachnę zbyt atrakcyjnie.

Na to mój szef wybuchnął śmiechem.

— Komisarz Wojny zna ten zapach doskonale — od powiedział. — Poza tym nie lubi czekać.

Tak więc udałem się za posłańcem do olbrzymiego budynku, w którym obradował Rząd Unisu. Zostałem wprowadzony do gabinetu jednego z sekretarzy Komisarza. Kiedy weszliśmy, z niezadowolaniem podniósł głowę znad biurka.

— Czego chcesz?

— Oto człowiek, którego polecił mi pan przyprowadzić — brzmiała odpowiedź posłańca.

— Ach tak, nazywasz się Tangor. Mogłem się domyślić po tych czarnych włosach. A więc twierdzisz, że przybyłeś do nas z innego świata, oddalonego od nas o pięćset czterdzieści osiem tysięcy lat świetlnych?

Potwierdziłem ruchem głowy. W rzeczywistości, wed-

ług dokładnych wyliczeń, Poloda oddalona jest od Ziemi o jakieś czterysta pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych, czyli pięćset czterdzieści siedem i pół tysiąca lat świetlnych po-lodyjskich, jako że rok na Polodzie ma tylko trzysta dni. Ale w końcu sto tysięcy lat świetlnych więcej czy mniej, jakie to ma w tej sytuacji znaczenie...

— Doniesiono mi o twoim wczorajszym wyczynie w walce z Kaparami — odezwał się oficer. — Jak również o tym, że w swoim świecie byłeś lotnikiem i chciałbyś latać w lotnictwie Unisu.

— To prawda — odpowiedziałem.

— W uznaniu dla twojej odwagi i zasług, jakie nam wczoraj oddałeś, zamierzam zezwolić ci na uczestniczenie w szkoleniu naszych sił powietrznych. Chyba że wolisz pozostać w oddziałach porządkujących miasto — dodał z niewinnym uśmiechem.

— Nie zamierzam, w żadnym wypadku, uskarżać się na rodzaj aktualnie wykonywanej przeze mnie pracy. Każdą pracę traktuję jako równie ważną dla dobra Unisu. Przybyłem tu jako nieproszony gość, a traktowano mnie przez cały czas niezwykle życzliwie. Wykonam każde polecenie.

— Miło mi to słyszeć — powiedział oficer. Następnie wręczył mi polecenie pobrania munduru oraz udzielił wskazówek, gdzie i do kogo w następnej kolejności mam się zwrócić.

Oficer, do którego zostałem skierowany, kazał mi się udać do fabryki produkującej silniki samolotowe. Pozostałem tam tydzień, to znaczy dziewięć dni roboczych. W zakładzie tym uruchomiono dziesięć taśm montażowych i co godzina, w czasie dziesięciogodzinnego dnia pracy, z każdej z nich schodził gotowy silnik. Ponieważ na Polodzie miesiąc liczy dwadzieścia siedem dni roboczych, fabryka ta produkowała miesięcznie dwa tysiące siedemset silników.

Nauka aerodynamiki, czy to na Ziemi, czy na Polodzie,

rządzi się tymi samymi, naturalnymi prawami. Tak więc samoloty na Polodzie nie różnią się zasadniczo wyglądem od tych znanych mi na Ziemi. Jednak konstrukcja ich jest zupełnie inna w związku z wynalezieniem przez Uni-san technologii produkcji lekkiego, praktycznie niezniszczalnego, twardego plastiku o nieprawdopodobnej wytrzymałości. Olbrzymie maszyny wytłaczają z niego kadłub i skrzydła samolotów. Następnie części te są łączone i hermetycznie spajane. Kadłub samolotu ma podwójne ściany, pomiędzy którymi znajduje się powietrze, skrzydła są wewnątrz puste. W końcowej fazie produkcji powietrze z przestrzeni pomiędzy ścianami kadłuba oraz ze skrzydeł jest usuwane. W ten sposób w tych miejscach powstaje próżnia, co wydatnie zwiększa siłę nośną samolotu, dzięki której może on zabrać na pokład znacznie większy ładunek.

Samoloty te wprawdzie nie są lżejsze od powietrza, ale kiedy nie mają zbyt dużego ładunku, ciężko się nimi manewruje, a lądowanie przebiega bardzo wolno. W Unisie jest czterdzieści zakładów produkujących samoloty: dziesięć z nich wytwarza ciężkie bombowce, dziesięć lekkie bombowce, dziesięć samoloty bojowe i dziesięć pościgowce, których używa się również do celów zwiadowczych.

Imponująca produkcja tych fabryk, ponad sto tysięcy samolotów miesięcznie, ma wyrównać ponoszone na wojnie straty, zastąpić zużyte maszyny nowymi oraz systematycznie powiększać liczebność sił powietrznych Unisu. W jednej z takich fabryk pozostawałem, podobnie jak w fabryce silników, przez dziewięć dni, zapoznając się z procesem produkcyjnym. Następnie ponownie zostałem przeniesiony do fabryki silników, gdzie pracowałem przez dwa tygodnie. Kolejne dwa tygodnie spędziłem przy montażu kadłubów. Aż wreszcie przez trzy tygodnie miałem praktyczne zajęcia pilotażu, które kilkakrotnie przerywane były nalotami Kaparów. Dochodziło wtedy do walk powietrz-

nych, w których zarówno ja, jak i mój instruktor braliśmy czynny udział.

W ostatnim czasie zacząłem intensywną naukę czterech z pięciu języków używanych na Polodzie, ze szczególnym uwzględnieniem języka Kaparów. Wiele godzin spędzałem również na studiowaniu geografii Polody. Tak więc czasu na wypoczynek nie miałem zbyt wiele. Często siedziałem nad książkami do białego świtu. Od dawna również nie widywałem nikogo z Harkasów, ponieważ mieszkalem obecnie w baraku, a nie w domu Harkas Yena. Gdy z okazji zdobycia odznaki pilota otrzymałem wreszcie wolny dzień, natychmiast pojechałem odwiedzić przyjaciół.

W domu Harkas Yena oprócz Dona i Yamody zastałem Balzo Maro, pierwszą spotkaną na Polodzie dziewczynę. Wszyscy bardzo się ucieszyli ze spotkania i serdecznie mi gratulowali z okazji przeniesienia do służby w lotnictwie.

— Wyglądasz teraz zupełnie inaczej — odezwała się Balzo Maro z uśmiechem na twarzy.

Tak rzeczywiście było. Miałem na sobie niebieski, ceki-nowy strój, niebieskie buty i niebieski hełm sił powietrznych.

— I wiele się na Polodzie nauczyłem, ale jednego wciąż nie mogę pojąć — powiedziałem. — Wspólna kąpiel nago mężczyzn i kobiet jest dla was zjawiskiem normalnym. Dlaczego więc byłaś tak zaszokowana moją nagością, kiedy mnie po raz pierwszy ujrzałaś?

Balzo Maro uśmiechnęła się.

— Jest pewna różnica pomiędzy pływaniem nago a bieganiem po mieście zupełnie bez ubrania. Ale prawdę mówiąc, to nie twoja nagość była dla mnie szokująca, lecz brąz twojej skóry i twoje czarne włosy. Zastanawiałam się wówczas, jaka dzika bestia stoi przede mną.

— No cóż, gdy ja zobaczyłem ciebie w środku dnia w tym dziwnym stroju pasującym raczej na bal maskowy, pomyślałem, że coś musi być z tobą nie w porządku.

— W tej sukience nie ma nic szczególnego — odpowiedziała. — Wszystkie dziewczyny w Unisie noszą takie. Nie podoba ci się? Nie sądzisz, że jest ładna?

— Bardzo mi się podoba — brzmiała moja odpowiedź. — Ale przyznaj, czy nie znudziło ci się noszenie w kółko tej samej rzeczy? Czy czasami nie marzysz o założeniu cze goś nowego?

Balzo Maro potrząsnęła przecząco głową.

— Jest wojna — powiedziała.

Jak widać, tu na Polodzie była to uniwersalna odpowiedź na każde kłopotliwe pytanie.

— Możemy nosić włosy uczesane, jak nam się podoba — zauważyła Harkas Yamoda. — A to też coś znaczy.

— Czy mam rozumieć, że macie tu fryzjerki, które wciąż na bieżąco wymyślają dla was nowe uczesania? — zapytałem.

Yamoda roześmiała się.

— Już prawie od stu lat nie ma w Unisie ani fryzjerek, ani kosmetyczek, ani masażystek. Od dawna radzimy sobie same.

— Czy wszystkie kobiety pracują? — zapytałem.

— Oczywiście — odpowiedziała Balzo Maro. — Nie może być inaczej, jeśli nasi mężczyźni mają zająć się jedynie obroną kraju i pracą w brygadach roboczych.

Musiałem w tym momencie zadać sobie pytanie, jak zachowałyby się amerykańskie kobiety, gdyby naziści zagrozili ich ojczyźnie. Chciałbym wierzyć, że podobnie jak kobiety Unisu nie zawiodłyby w godzinie próby. Z początku miałyby zapewne problemy z zaakceptowaniem noszenia wciąż tego samego niezniszczalnego kostiumu. Tu, na Polodzie, kobiety nie zmieniają stroju od momentu osiągnię-

cia dojrzałości aż do zamążpójścia. Kostium Balzo Maro, jak sama mi powiedziała, mógł już mieć jakieś pięćdziesiąt lat i był sprzedawany za każdym razem, gdy już nie pasował na użytkowniczkę.

Później, gdy wychodzą za mąż, zakładają srebrny kostium i ten noszą już do śmierci; chyba że mąż zginie na wojnie, wtedy zmieniają go na purpurowy.

Myślę, że dla wielu amerykańskich kobiet śmierć byłaby jednak lepszym wyjściem niż noszenie tego samego ubioru przez całe niemal życie. Pomimo najszczerzych chęci nie mogłem sobie wyobrazić, powiedzmy, Elizabeth Arden rezygnującej z wymogów mody, a tym bardziej przy wykonywaniu pracy fizycznej, w rodzaju na przykład kopania kartofli.

— Jesteś już tutaj kilka miesięcy — odezwał się Harkas Don. — Jak ci się podoba nasze życie?

— Nie muszę cię chyba przekonywać, że podobają mi się obywatele waszego kraju — odpowiedziałem. — Wasza odwaga i zasady moralne są imponujące. Podobają mi się również wasz system sprawowania władzy. Jest prosty i jednocześnie niezwykle skuteczny. Odnoszę wrażenie, że to właśnie dzięki temu wykształciliście społeczeństwo wolne od zdrajców i kryminalistów.

Harkas Don potrząsnął przecząco głową.

— Niestety, w tym wypadku się mylisz — powiedział. — Mamy zarówno kryminalistów, jak i zdrajców. Lecz bez wątpienia jest ich znacznie mniej niż sto lat temu, kiedy to kwitła nieprawdopodobna korupcja polityczna, a wraz z nią szerzyły się również inne przestępstwa. Wśród nas żyje wielu sympatyków Kaparów, jak również Kaparów prawdziwych, którzy zostali przysłani w celach wywiadowczych i sabotażowych. Każdej nocy dostają się tutaj na spadochronach. Większość z nich udaje się nam przechwycić, lecz niestety nie wszystkich. Widzisz, Kaparzy to mieszana

rasa. Wielu z nich ma białą skórę i blond włosy, tak że z łatwością mogą być wzięci za Unisan.

— Są wśród nich również i czarnowłosi — odezwała się Harkas Yamoda, spojrzawszy jednocześnie znacząco na mnie, lecz już po chwili uśmiechnęła się, jak gdyby chciała się z czegoś wycofać.

— A więc nie rozumiem, dlaczego nie zostałem wzięty za Kapara i zlikwidowany — odpowiedziałem.

— To ta twoja ciemna karnacja cię ocaliła — powiedział Harkas Don — i fakt, że bez wątpienia nic nie rozumiałeś w żadnym języku Polody. Widzisz, przeprowadzono dyskretnie kilka testów, na które ty w ogóle nie zareagowałeś. Nie mógłbyś się tak obojętnie zachować, gdybyś znał jakikolwiek język Polody.

Później, w czasie południowego posiłku, zwróciłem uwagę, że jak na tak zaciętą wojnę, w której po obydwu stronach w walkach powietrznych biorą udział miliony samolotów, naloty Kaparów nie są zbyt intensywne.

— Są czasami takie zastoje — odpowiedział na to Harkas Don. — Wygląda to tak, jakby obydwie strony równo cześnie były zmęczone prowadzoną wojną. Jednak nigdy nie można przewidzieć, kiedy działania rozpoczną się ze zdwojoną siłą.

Zaledwie skończył mówić, gdy z głośników, rozwieszonych wzdłuż i wszerz podziemnego miasta, dobiegło do nas przeraźliwe wycie. Harkas Don wstał.

— Oto właśnie on — powiedział. — Alarm generalny. Teraz dopiero, Tangor, mój przyjacielu, przekonasz się, co to znaczy wojna. Idziemy.

Pobiegliśmy do samochodu, a wraz z nami dziewczęta. Po odwiezieniu nas do jednostek miały odprowadzić samochód do domu.

Setki pasów startowych prowadziły z podziemnych lotnisk Orvis na powierzchnię. Z zamaskowanych otworów w ziemi samoloty wylatywały z częstotliwością dwudziestu

na minutę jak uskrzydłone termity w popłochu opuszczające gniazdo. Leciałem w eskadrze pościgowców. Mój samolot wyposażony był w cztery działka pokładowe: jedno przy wale napędowym, dwa w tylnej części kokpitu (można je było nastawiać w dowolnym kierunku) i jeszcze jedno, które strzelało przez specjalny otwór w podłodze kadłuba.

Kiedy znalazłem się na otwartej przestrzeni, niebo było już czarne od naszych samolotów. Eskadry formowane były bardzo szybko, po czym błyskawicznie kierowały się na południowy zachód, by stoczyć bój z Kaparami nadlatującymi właśnie z tamtej strony. Wreszcie ich ujrzałem. Byli zaledwie kilka kilometrów od nas. Miałem wrażenie, że w naszym kierunku leci gigantyczna chmura owadów.

Wtedy, gdy zostałem trafiony podczas tej naszej małej wojenki na Ziemi, intensywność działań w powietrzu nie była zbyt wielka; zmasowane naloty nie zdarzały się tak często.

Wiedziałem, że każda strona może jednorazowo wysłać w powietrze setki samolotów i wydawało mi się wtedy, iż jest to zawrotna liczba. Ale tego dnia, gdy leciałem za dowódcą mojej eskadry, na niebie widać było ponad dziesięć tysięcy samolotów, a był to dopiero pierwszy ich rzut. Z olbrzymią prędkością wzbijaliśmy się coraz wyżej w podniebną przestrzeń, aby znaleźć się nad samolotami Kaparów. Oni starali się zrobić dokładnie to samo. Wreszcie doszło do walki na wysokości dziewiętnastu kilometrów. Mimo że obydwie strony usiłowały utrzymać swoje samoloty w szyku bojowym, dochodziło jednak do licznych indywidualnych potyczek.

Atmosfera Polody sięga do stu sześćdziesięciu kilometrów od powierzchni planety. Natomiast bez konieczności korzystania z aparatu tlenowego można wzbąć się jedynie na wysokość dwudziestu czterech kilometrów.

W ciągu kilku minut zostałem oddzielony od mojej eskadry i stoczyłem walkę z trzema samolotami Kaparów. Wokół nas maszyny spadały jak zwiędłe liście podczas jesiennej burzy. Niebo było tak zatłoczone, że prawie całą moją uwagę musiałem skupić na tym, aby za wszelką cenę

uniknąć kolizji. Pomimo to jakoś udało mi się uzyskać korzystną pozycję do ataku i w chwilę później z satysfakcją ujrzałem, jak jeden z nieprzyjacielskich samolotów wpadł w korkociąg i runął nagle w dół. Pozostali dwaj piloci byli praktycznie na straconej pozycji, ponieważ wciąż znajdowałem się nad nimi. Widocznie doszli do tego samego wniosku, gdyż gwałtownie zmienili kierunek lotu i rozpoczęli ucieczkę. Mój samolot był wyraźnie szybszy od jednego z nich. Wkrótce go dogoniłem i zestrzeliłem.

Nie mogłem powstrzymać się od wspomnień. W ostatniej mojej ziemskiej walce również straciłem dwa z trzech nieprzyjacielskich samolotów, zanim sam nie zostałem strącony. Czyżby sytuacja miała się znowu powtórzyć? Czy miałem przeżyć swą śmierć po raz wtóry?

Ścigałem ostatni samolot Kaparów aż do olbrzymiej zatoki stanowiącej część zachodniej granicy Unisu. Zwą ją Zatoką Hagar. Jest rzeczywiście ogromna. Ma prawie dwa tysiące kilometrów długości. U jej ujścia znajduje się wielka wyspa powstała w czasie prowadzenia podziemnych prac w Unisie. Ziemię usuwaną w trakcie tych gigantycznych robót transportowano do zatoki specjalnym tunelem, tak szerokim, że można go było przejechać samochodem.

To właśnie między wybrzeżem a tą wyspą wszedłem na ogon ostatniego samolotu Kaparów. Jeden z jego strzelców pokładowych był już martwy, drugi jednak strzelał z wielką determinacją. Poprzez nieustanny terkot mojego działka słyszałem, jak przelatują nade mną kule przeciwnika. Dlaczego więc nie zostałem trafiony, tego zapewne nigdy się nie dowiem. Przypuszczam, że musiał to być najgorszy strzelec na Polodzie.

Prawdę powiedziawszy, mnie również nie wiodło się najlepiej. Lecz w końcu trafiłem. I wtedy ujrzałem nową falę kaparskich samolotów. Pomyślałem, że najwyższy czas, by wreszcie zawrócić w stronę domu. Ścigany przeze mnie

pilot zauważył prawdopodobnie zbliżające się samoloty, bo natychmiast dokonał zwrotu w moją stronę. I teraz on rozpoczął pościg. W tym momencie poczułem, że coś niedobrego dzieje się z moim silnikiem. Musiał go trafić odłamek pocisku w czasie niedawnego starcia. Kapar mnie doganiał, był już prawie na jednej linii ze mną. Nagle stwierdziłem, że moje działka w tyle kokpitu zamilkły. Wydawało się, że teraz ja byłem w beznadziejnej sytuacji. Zdecydowałem się jednak na jeszcze jeden szybki manewr. Błyskawicznie pikując w dół znalazłem się, z wycelowanym działkiem, wprost pod samolotem Kapara. Wystrzeliłem całą serię, gdy on dał nagle nura w dół, by uciec spod mego ostrzału. Lecz to był już jego ostatni manewr w życiu.

Na zachodzie całe niebo pełne było wrogich samolotów. Jeszcze chwila, a mnie dopadną. Właśnie w tym momencie silnik mojej maszyny wyzionął ducha. Kilkanaście kilometrów pode mną widać było wybrzeże Unisu. Orvis znajdowało się jakieś tysiąc sześćset kilometrów na północny wschód. Mogłem przelecieć jeszcze najwyżej dwieście, może dwieście dziesięć kilometrów w kierunku miasta, lecz wtedy samoloty Kaparów z pewnością dopadłyby mnie i wykończyły. Sądząc, iż Kaparzy mogli mnie już zauważyć, wprowadziłem samolot w korkociąg. Uczyniłem to wierząc, że uznają mnie za zestrzelonego. Przez jakiś czas spadałem korkociągiem, następnie przeszedłem w pikowanie. Muszę powiedzieć, że korkociąg i pikowanie przez szesnaście czy siedemnaście kilometrów jest przeżyciem nie do opisania. Wylądowałem między linią brzegową a pasmem górskim. Żaden z Kaparów nie zainteresował się mną. Kiedy wyszedłem z kabiny pilota, Bantor Han, mój trzeci strzelec pokładowy, wyskoczył z samolotu.

— Niezła robota — odezwał się. — Dostaliśmy wszystkich trzech.

— Mieliśmy szczęście — odpowiedziałem. — Teraz czeka nas długa wędrówka do Orvis.

— Nigdy już nie zobaczymy Orvis — powiedział mój towarzysz.

— Jak to? — zapytałem.

— To wybrzeże już od stu lat znajduje się na trasie kaparskich lotów. Tu, gdzie teraz stoimy, kiedyś było jedno z największych miast Unisu, a jednocześnie wielki port morski. Czy w tej chwili cokolwiek wskazuje na to, że kiedyś było tu miasto? Ziemia wygląda identycznie do czterystu kilometrów w głąb lądu. Nic, tylko kratery po bombach.

— Czyżby w tej części Unisu nie było w ogóle żadnych miast? — zapytałem.

— Jest ich kilka nieco dalej na południe. Najbliższe znajduje się jakieś tysiąc sześćset kilometrów stąd, po drugiej stronie grzbietu górskiego. Są też miasta daleko na północ oraz na wschód od Orvis. Nigdy nawet nie brano pod uwagę koncepcji budowy podziemnych miast na trasie stałych lotów Kaparów, podczas gdy jest tyle innych terenów znacznie mniej narażonych na zniszczenie.

— No cóż — odpowiedziałem. — Nie mam zamiaru tak łatwo się poddać. Muszę przynajmniej spróbować dotrzeć do Orvis lub jakiegoś innego miasta. A może zdecydujemy się na któreś z miast po drugiej stronie grzbietu górskiego? Nie będziemy przynajmniej tak bardzo widoczni z góry.

Bantor Han ponownie przecząco pokręcił głową.

— Te góry pełne są dzikich bestii — powiedział. — Sto lat temu w mieście Hagar znajdował się ogromny rezerwat dzikich zwierząt. Wiele z nich zginęło podczas pierwszego bombardowania. Te, które ocalały, uciekły, ponieważ klatki uległy całkowitemu zniszczeniu. Przez minione dziesiątki lat opanowały te góry i nieprawdopodobnie się rozmnożyły. Mieszkańcy Polan, miasta, do którego zamierzasz dotrzeć, z obawy przed nimi prawie nie opuszczają swych domów. Jednak — ciągnął — nie powinniśmy na-

rzekać. Jeśli tu umrzemy, oznaczać to będzie, że straciliśmy jeden pościgowiec i czterech ludzi. Natomiast straty naszego wroga to trzy lekkie samoloty bojowe i prawdopodobnie dwudziestu ludzi. To był naprawdę udany dzień. Możesz być z siebie dumny, Tangor.

— To właśnie nazywam patriotyzmem i lojalnością — stwierdziłem. — Ale mogę posiadać te cechy zarówno jako żywy, jak i umarły. I nie mam zamiaru nawet myśleć o poddaniu się losowi. Jeżeli i tak mamy umrzeć, to nie wiadzę sensu siedzieć tu i czekać na śmierć.

Bantor Han wzruszył ramionami.

— Mnie tam wszystko jedno — odpowiedział. — Kiedy straciłeś te trzy samoloty, pomyślałem, że taki ze mnie pożytek, jak z umarłego. Właściwie to powinienem zginąć w następnej walce powietrznej. Miałem naprawdę zbyt dużo szczęścia. A więc, jeżeli wolisz stąd ruszyć w poszukiwaniu śmierci, zamiast po prostu na nią zaczekać, pójdę wraz z tobą.

Tak więc Bantor Han i ja zabraliśmy broń oraz amunicję naszych poległych kolegów i ruszyliśmy w Góry Loras.

Od pierwszej chwili byłem oczarowany ich pięknem. Znajdowaliśmy się jakieś tysiąc pięćset kilometrów na północ od równika, a klimat był zupełnie podobny do panującego na Ziemi w południowej części umiarkowanej strefy klimatycznej podczas lata. Wszystko było zielone i piękne. Natura hojnie tu obrodziła w dziwne drzewa, rośliny i kwiaty, bardzo podobne do tych na Ziemi, a jednak inne. Tak długo przebywałem w podziemnym mieście Orvis, że teraz czułem się jak mały chłopiec, który nareszcie ma za sobą rok szkolny, a przed sobą długie wakacje.

Jednak Bantor Han był wyraźnie nieswój.

— Oczywiście, urodziłem się w Unisie — powiedział. — Dziwnie się czuję na powierzchni. To dla mnie zupełnie obcy świat. W końcu prawie całe swe życie spędziłem albo pod ziemią, albo wysoko w powietrzu.

— Nie uważasz, że tu jest pięknie? — zapytałem.

— Tak — odpowiedział. — Myślę, że tak. Jestem chyba trochę oszołomiony. Tak tu wszystkiego dużo. W podziemiach Orvis panuje spokój i cisza, tam czuję się bezpieczny. A po walce zawsze jestem szczęśliwy, że mogę do Orvis wrócić.

Zamieszkiwanie od wielu pokoleń w podziemnych miastach wywarło ogromny wpływ na psychikę Unisan. Zauważyłem u Bantor Hana kompleks będący całkowitym przeciwieństwem klaustrofobii. Prawdopodobnie ma to jakąś nazwę, lecz niestety jej nie znam.

W górach było mnóstwo potoków i małych jezior, w których widać było wielką ilość ryb. Pierwsze zwierzę, na które natknęliśmy się w czasie naszej wędrówki, przypominało antylopę. Stało w płytkiej wodzie na brzegu jeziora i, kiedy nadeszliśmy, właśnie piło. Ponieważ szliśmy pod wiatr, nie wyczuło naszej obecności. Zaciągnąłem Bantor Hana w zarośla.

— Oto nasze pożywienie — wyszeptałem, na co Bantor Han próbując skinał głową.

Wycelowałem dokładnie i jednym strzałem w serce powaliłem zwierzę. Właśnie byliśmy zajęci wycinaniem płatów mięsa z upolowanej zdobyczy, gdy rozległ się niesamowity ryk. Równocześnie unieśliśmy głowy, nasłuchując.

— To właśnie o tym ci mówiłem — odezwał się Bantor Han. — Te góry pełne są takich bestii.

Większość zwierząt, które widziałem na Polodzie, nie różni się specjalnie od żyjących na Ziemi. Wszystkie mają cztery nogi, parę oczu i zazwyczaj ogon. Niektóre mają nagą skórę, niektóre są owłosione, jeszcze inne pokryte wełną albo futrem. Koń na Polodzie ma trzypalcowe kopyto i mały róg na samym środku czoła. Bydło nie ma w ogóle rogów, a ich kopyta nie są rozszczepione. Podczas walki koń na Polodzie gryzie i kopie zupełnie tak samo jak na Ziemi. Może służyć do jazdy wierzchem lub jako siła pociągowa,

czasami hodowany jest dla mięsa. Bydło to krowy i woły. Krowy hodowane są głównie dla mleka.

Bestia, która skradała się w naszą stronę, niesamowicie przy tym rycząc, wielkością i budową przypominała lwa afrykańskiego, ale skórę miała w paski jak zebra. Wyciągnąłem z kabury pistolet, lecz Bantor Han w tym samym momencie położył mi rękę na ramieniu.

— Nie strzelaj — odezwał się. — Tylko go rozwścieczysz. Lepiej będzie, gdy odejdziemy i zostawimy mu mięso. Może nas wtedy nie zaatakuje.

— Jeżeli myślisz, że pozostawię naszą kolację temu potworowi, to grubo się mylisz — powiedziałem.

Zachowanie Bantor Hana bardzo mnie zaskoczyło. Wiedziałem przecież, że nie jest tchórzem. Jako lotnik miał znakomite osiągnięcia i często był odznaczany. Lecz tutaj, na powierzchni, wszystko było dla niego nowe i zarazem dziwne. Myślę jednak, że gdyby nagle znalazł się dwadzieścia kilometrów nad ziemią lub trzy kilometry pod nią, znowu byłby sobą.

Odsunąłem jego rękę i dokładnie wymierzyłem w zwierzę, które właśnie szykowało się do ataku. Posyłając bestii całą serię kul, trafiłem ją prosto w serce. Zwierzę zostało niemal rozerwane na strzępy, ponieważ strzelałem pociskami o dużej sile rażenia. Jak to możliwe, myślałem, że naród o tak wysokim poziomie cywilizacji i kultury, a tacy przecież są Unisanie, używa do ręcznej broni palnej nie tylko pocisków zawierających ładunek wybuchowy, ale również straszliwych dum-dum. Kiedy o to zapytałem jednego z Unisan, usłyszałem w odpowiedzi, że to Kaporzy chcieli takiej wojny.

— Coś takiego! — wykrzyknął Bantor Han. — Udało ci się!

Wyglądało na to, że był ogromnie zaskoczony tym, co zobaczył. Wciąż nie mógł uwierzyć, że to straszne zwierzę naprawdę leży martwe.

Vv wiedziałem, że detektory dźwięku ostrzegały Unisan już przed zbliżeniem się nieprzyjacielskiego samolotu. Ich własne samoloty wyposażone były w urządzenie wytwarzające specjalny sygnał, dzięki któremu możliwa była natychmiastowa identyfikacja. Sygnał ten zmieniany był codziennie i znany tylko osobom wtajemniczonym. Obserwatorzy musieli być zawsze na stanowisku, aby w porę ogłosić alarm, nawet gdy dotyczyło to tylko jednej nieprzyjacielskiej maszyny. Byłem przekonany, że oczekują nas na dużej wysokości. Postanowiłem więc, iż będę leciał możliwie nisko, na wysokości mniej więcej siedmiu metrów nad ziemią.

Zanim zdążyliśmy dotrzeć do gór, które otaczają Orvis, zobaczyłem eskadrę pościgowców tuż nad grzbietem górskim.

— Szukają nas — odezwał się do Bantor Hana siedzącego z tyłu kokpitu. — Zamierzam wejść im natychmiast w pole widzenia.

— Świetnie, tempo naszego spadania będzie równie natychmiastowe — powiedział Bantor Han.

— Teraz uważnie posłuchaj — ciągnąłem. — Jak tylko podejdziemy do nich na tyle blisko, abyś dostrzegł załogę i ich niebieskie mundury, wstań i pomachaj czymś. Mam nadzieję, że oni również dostrzegą nasze mundury. Jakoś nie chce mi się wierzyć, że mogą nas zestrzelić.

— I tu się mylisz — odpowiedział Bantor Han. — Wielu Kaparów usiłowało już dostać się do Orvisu w mundurach po naszych zabitych kolegach.

— Nie zapomnij wstać i pomachać — powiedziałem ignorując jego wypowiedź.

Coraz bardziej się przybliżaliśmy. Były to naprawdę dramatyczne chwile. Doskonale widziałem niebieskie mundury obsługi działek pokładowych i pilotów, a oni z pewnością dostrzegli nasze. Obserwując Bantor Hana dającego im jakieś znaki, musieli się zorientować, że wydarzyło się coś dziwnego. Dowódca eskadry polecił swym samolotom zająć pozycje ponad nami. Następnie zostaliśmy okrążeni, a ich maszyny błyskawicznie zbliżyły się do nas. W końcu dowódca znalazł się tak blisko, że nasze samoloty prawie dotykały się skrzydłami.

— Kim jesteście? — brzmiało pytanie.

— Bantor Han i Tangor — odpowiedziałem. — Przejęliśmy samolot wroga.

Usłyszałem, jak ktoś z członków załogi powiedział:

— Tak, to prawda. To rzeczywiście Bantor Han, znam go doskonale.

— Wylądujecie w południowej części miasta — odezwał się dowódca. — Będziemy was eskortować. W innym wypadku możecie zostać zestrzeleni.

Dałem znak, że zrozumiałem.

— Lećcie za mną — usłyszałem jego rozkaz.

Tak więc wylądowaliśmy w Orvis, w pobliżu dowództwa V-Formacji. I nie muszę wam chyba mówić, jak bardzo byłem szczęśliwy, że wyszedłem cało z tej niesamowitej przygody. Zdałem dowódcy dokładną relację z tego, co się nam ostatnio przydarzyło, i przekazałem mu zdobyczną skrzynię. Następnie poszedłem zameldować się u dowódcy mojej eskadry.

— Nie spodziewałem się, że jeszcze cię kiedykolwiek zobaczę — powiedział. — Czego dokonałeś?

— Dwudziestu dwóch Kaparów zabitych, cztery samo loty nieprzyjacielskie zniszczone.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— I to wszystko sam?

— Miałem trzech ludzi, straciłem dwóch i samolot.

— Masz więc dodatni bilans. Kto jeszcze uratował się z twojej załogi?

— Bantor Han — odpowiedziałem.

— To wartościowy chłopak. Gdzie on jest?

— Chyba na zewnątrz.

Dowódca wezwał Bantor Hana.

— Słyszałem, że mieliście dużo szczęścia — powiedział.

— Tak jest. Nieprzyjaciel stracił cztery samoloty i dwudziestu dwóch ludzi. Nasze straty: jeden samolot i dwóch ludzi.

— Przedstawię was obydwu do odznaczenia. Poza tym należy wam się wolny dzień. Zasłużyliście na odpoczynek — powiedział dowódca i pożegnał się z nami.

Nie traciłem czasu. Natychmiast udałem się do rodziny Harkasów. Harkas Yamoda siedziała w ogrodzie. Odniosłem wrażenie, że jest smutna. Gdy jednak zawołałem ją, zerwała się natychmiast i z okrzykiem radości pobiegła w moim kierunku. Chwyliła mnie mocno w ramiona.

— Och, Tangor — krzyknęła. — Tak bardzo baliśmy się o ciebie. Gdy nie wróciłeś, byliśmy pewni, że zostałeś zestrzelony. Po raz ostatni widziano cię, jak walczyłeś z trzema nieprzyjacielskimi samolotami.

— Czy Harkas Don wrócił? — zapytałem.

— Tak. Jakie to szczęście, że znów jesteśmy razem. Tylko nie wiem, na jak długo.

Zjadłem obiad z Yamodą, jej ojcem i matką. Po obiedzie przyszedł Harkas Don. Był tak samo zaskoczony i równie uszczęśliwiony moim powrotem jak inni.

— Nie wierzyłem, że to możliwe — powiedział. — Je-

zeli ktoś nie wraca przez trzy dni, uważa się, że nie żyje. Miałaś nieprawdopodobne szczęście.

— Jak zakończyła się walka? — zapytałem.

— Kaporzy ponieśli całkowitą klęskę — odpowiedział Harkas Don. — Mamy lepsze samoloty, lepszych pilotów, lepszą obsługę i lepszą broń. Myślę, że w tej chwili mamy nawet więcej samolotów niż oni. Nie rozumiem, na co liczą, dlaczego wciąż prowadzą tę wojnę. Za każdym razem przylatują dwoma rzutami po pięć tysięcy samolotów i za każdym razem niszcymy co najmniej połowę z nich. Nasze straty to tysiąc samolotów i dwa tysiące ludzi. Część załóg uratowała się wyskakując na spadochronach.

— Nie rozumiem, dlaczego ta straszna wojna nie może się wreszcie skończyć — powiedziałem. — Dlaczego Kaporzy nie buntują się przeciwko wysyłaniu ich na pewną śmierć?

— Ci, którzy o tym decydują, są bezwzględni — wyjaśnił Harkas Don. — Poza tym Kaporzy od tylu lat poddawani są tak surowej dyscyplinie, że całkowicie zatracili swą indywidualność i jakąkolwiek inicjatywę. Inną ważną przyczyną ich bierności jest strach przed głodem. Przywódcy państwa żyją po królewsku, nie mają żadnych problemów; oficerowie i ich rodziny mają również wszystkiego pod dostatkiem; żołnierze otrzymują ogromne przydziały żywności, natomiast pozostali obywatele cierpią straszliwy głód. Gdyby nie służyli w wojsku, zmuszono by ich do ciężkiej fizycznej pracy. W Kaporii ludzi takich traktuje się prawie jak niewolników. Otrzymują zaledwie tyle jedzenia, by jakoś przeżyć, a pracują od szesnastu do osiemnastu godzin dziennie. Mimo wszystko ich los jest jednak znacznie lepszy niż ludności podbitej, gdzie skutek głodu dochodzi już nawet do kanibalizmu.

— Porozmawiajmy, proszę, o czymś weselszym — odezwała się Yamoda.

— Nie mam nic przeciwko temu. Oto nasz nowy i sympatyczny, jak sądzę, temat do rozmowy — powiedziam, wskazując jednocześnie ruchem głowy wejście do ogrodu, w którym pojawiła się Balzo Maro. Podeszła do nas z uśmiechem na twarzy, chociaż wyczułem, że był on jak gdyby wymuszony.

Harkas Don wyszedł Balzo Maro naprzeciw i uściśnął jej dłonie, Yamoda serdecznie ją ucałowała. Byłem bardzo zaskoczony. Taka demonstracja uczuć to u Unisan ogromna rzadkość. Ci młodzi ludzie, mimo że bardzo się kochali, nie lubili jednak publicznie tego okazywać. Widocznie zauważyli moje zdziwienie, ponieważ po chwili Balzo Maro odezwała się.

— Mój najmłodszy brat zginął na polu chwały. — Po czym dodała. — Jest wojna.

Nie jestem specjalnie uczuciowy, jednak coś zaczęło mi ścisnąć krtań, a łzy napłynęły do oczu. Co za wspaniali, dzielni ludzie! Jakże straszliwą cenę przyszło im zapłacić za nienawiść, pychę i żądzę władzy kogoś, kto żył prawie sto lat temu!

Nikt już więcej nie wrócił do tego bolesnego tematu. Jest wojna, a życie toczy się dalej.

— Masz jutro wolny dzień — odezwał się Harkas Don.
— Szczęściarz z ciebie.

— Co masz na myśli? — zapytałem.

— Na jutro zaplanowany jest nalot na Kaparów siłami dwudziestu tysięcy samolotów — powiedział. — To w ramach odwetu.

— Następnie oni, też w ramach odwetu, przyślą tu czterdzieści tysięcy samolotów — dodała Harkas Yamoda.

— I tak w nieskończoność.

— Nie skorzystam jutro z wolnego dnia — odezwałem się.

— Jak to? Dlaczego? — zapytała Yamoda.

— Lecę z moją eskadrą — odpowiedziałem. — Nie rozumiem, dlaczego dowódca nic mi o tym nie powiedział.

— Ponieważ ten wolny dzień naprawdę ci się należy — odpowiedział Harkas Don.

— Wszystko jedno, lecę — powiedziałem kategorycznie.

Wystartowaliśmy następnego dnia, tuż przed świtem, tysiące różnego typu samolotów. Mieliśmy się wznieść na wysokość dziewiętnastu kilometrów i, kiedy już to uczyniliśmy, pojawiły się ponad nami cztery z jedenastu planet należących do Omosu. Najbliższa oddalona była od nas o jakieś dziewięćset tysięcy kilometrów. To był naprawdę niesamowity widok. Wokół Omosu, słońca w tutejszym systemie, krążyło jedenaście planet, każda mniej więcej tej samej wielkości co nasza Ziemia. Wszystkie znajdują się od siebie w tej samej odległości, natomiast tor, po którym się poruszają, przebiega milion sześćset tysięcy kilometrów od słońca. W naszym systemie "słonecznym odległości te są znacznie większe. Pas atmosfery o średnicy jedenastu i pół tysiąca kilometrów obraca się, wraz z planetami, po tej samej orbicie. W ten sposób łączy planety ze sobą, tworząc jak gdyby powietrzny most, co z kolei umożliwia odbywanie podróży międzyplanetarnych. Można by było już dawno je zrealizować, gdyby nie ta nieszczęsna wojna — powiedział mi Harkas Yen.

Od kiedy znalazłem się na Polodzie, wciąż opanowywała mnie nieodparta chęć zobaczenia wszystkich planet Omosu. Warunki na nich panujące muszą być zbliżone do tych na Polodzie. Żyją tam zapewne rośliny i zwierzęta niewiele różniące się od naszych. Małe są niestety szanse,

że będę mógł się o tym kiedykolwiek przekonać, diopoki trwa ta wojna.

Miałem przed sobą długi lot i marzenie o podróżach międzyplanetarnych pozwalało mi jakoś zabić czas. Kapa-ria leży na kontynencie Epris, a jego stolica Ergos oddalona jest od Orvis o jakieś siedemnaście i pół tysiąca kilometrów. Ponieważ nasze najwolniejsze samoloty lecą z prędkością około ośmuset kilometrów na godzinę, nad Ergos powinniśmy się znaleźć prawdopodobnie na kilka godzin przed świtem następnego dnia.

Wszyscy moi strzelcy pokładowi byli również pilotami, tak więc zmienialiśmy się przy sterach co cztery godziny. Tym razem nie było ze mną Bantor Hana. Na pokładzie miałem trzech ludzi, z którymi nigdy wcześniej nie latałem. Jednak byłem przekonany, że absolutnie mogę na nich polegać. Tacy byli wszyscy żołnierze Unisu.

Po przekroczeniu linii brzegowej przez pięć tysięcy pięćset kilometrów lecieliśmy nad wielkim Oceanem Kara-gan, który rozciąga się na przestrzeni trzynastu i pół tysiąca kilometrów, od północnej części kontynentu Karis aż do najbardziej na południe wysuniętego cypla Unisu. W tym miejscu niemal stykają się dwa kontynenty: Epris i Unis. Na wysokości dziewiętnastu kilometrów właściwie nie ma czego podziwiać. Zawszą otaczała nas jedynie atmosfera. Od czasu do czasu przepływały pod nami kłęby chmur. Między nimi natomiast widać było niezmierną, błękitną przestrzeń oceanu bajecznie iskrzącego się w świetle słonecznym. Wydawało się nam, że patrzymy na delikatną, gładką tafłę jeziora. Było to jednak tylko złudzenie. Właśnie to świetliste migotanie stanowiło dowód, że wody oceanu są w bezustannym ruchu i żyją własnym życiem.

Około południa dostrześliśmy wybrzeże Epris i wkrótce fala kaparskich samolotów wyszła nam na spotkanie. Nie było ich więcej niż tysiąc i szybko odparliśmy atak, nis-

cząc prawie połowę. Jednak wkrótce zaatakowała nas druga, znacznie większa fala. Walka była zaciekle. Nasza eskadra eskortowała jeden z ciężkich bombowców. W związku z tym zmuszeni byliśmy do bezustannego odpierania ataków wroga. Mój samolot w ciągu zaledwie pół godziny brał udział w trzech indywidualnych walkach. Miałem szczęście wyjść z tych wszystkich pojedynków jedynie ze stratą jednego strzelca pokładowego w tylnej części kokpitu.

Z dwóch tysięcy lekkich i ciężkich bombowców, które rozpoczęły rejs, około tysiąca ośmiuset przedarło się do Er-gos i tam dopiero rozpoczęła się prawdziwa bitwa. Setki tysięcy kaparskich samolotów wzbily się w powietrze. Nasze lotnictwo wspierane było przez samoloty nadciągające z indywidualnych potyczek.

Kiedy wreszcie bombowce pozbyły się całkowicie swego ładunku, najpierw zobaczyliśmy płomień eksplozji, a po chwili, która wydawała się wiecznością, usłyszeliśmy odgłos detonacji z przepaści pod nami liczącej dziewiętnaście kilometrów. Wokół nas bez przerwy spadały samoloty: nasze i Kaparów. Serie pocisków przelatowały ponad naszymi głowami. I to właśnie wtedy z tyłu kokpitu straciłem ostatniego strzelca.

Nagle kaparska flota zniknęła. Po chwili odezwały się działa przeciwlotnicze. Wystrzeliwują one, podobnie jak nasze w Unisie, pociski o wadze trzystu siedemdziesięciu kilogramów do wysokości dwudziestu czterech kilometrów. Wybuch takiego pocisku powoduje rozerwanie i rozrzut kawałków metalu w promieniu czterystu pięćdziesięciu metrów. Inne pociski wyrzucają przy wybuchu metalowe siatki oraz małe spadochrony, które utrzymują te siatki w powietrzu, powodując ich wplątywanie się w śmigło samolotu i w efekcie zniszczenie maszyny.

Po zrzućeniu na Ergos i okolice około ośmiu tysięcy bomb zawróciliśmy w stronę domu, kierując się najpierw

na wschód, następnie na północ. W ten sposób chcieliśmy osiągnąć najbardziej wysunięty na południe teren Unisu. W tylnej części kokpitu miałem dwóch zabitych, a trzeciemu, rannemu, usiłowałem udzielić pomocy, wyłączając się na pewien czas z walki.

Gdy osiągnęliśmy już wschodni kraniec Epris, mój silnik całkowicie zawiódł. W tej sytuacji nie było innego wyjścia, jak podjąć próbę lądowania. Jeszcze tylko godzina lotu, a szybując mógłbym osiągnąć przylądek Unisu lub przynajmniej jedną z trzech wysp, stanowiących jak gdyby jego przedłużenie w południowej części Oceanu Karagan. Załogi wielu samolotów widziały, jak spadam podejmując rozpaczliwe próby lądowania, jednak nikt nie przyszedł mi z pomocą. Podporządkowywali się po prostu jednej z głównych reguł panujących w powietrzu: nikomu nie wolno narażać się na niebezpieczeństwo asystując pilotowi, który zmuszony jest do lądowania w kraju wroga. W ten sposób spisuje się biedaka na straty.

Dzięki temu, czego nauczyłem się o geografii Polody, wiedziałem, że przekroczyłem południowo-wschodnią granicę Kaparii i znalazłem się nad krajem znanym niegdyś jako Punos. Było to pierwsze obce terytorium zajęte przez Kaparów ponad sto lat temu. Jak obecnie wyglądał ten kraj, mogłem sobie wyobrazić, słuchając różnych niesamowitych opowieści krążących po Unisie. Podobno po latach prześladowań i głodu tutejsi mieszkańcy przeistoczyli się po prostu w dzikie bestie.

Gdy zbliżałem się do ziemi, zobaczyłem pod sobą górzystą krainę i dwie rzeki, które łączyły się ze sobą i razem wpływały do zatoki na południowym wybrzeżu kontynentu. Nie zauważyłem jednak żadnych istot ludzkich, żadnych osiedli ani nawet śladów pól uprawnych. Tylko wzdłuż brzegów rzeki widać było roślinność. Cały pozostały obszar sprawiał wrażenie olbrzymiej pustyni. Jak okiem sięgnąć widać było tylko kratery po wybuchach potężnych

bomb. Straciłem już nadzieję, że znajdę jakiś płaski teren nadający się do lądowania, kiedy w ostatniej chwili odkryłem odpowiednie miejsce u wlotu do szerokiego wąwozu, biegnącego przez południowe zbocze łańcucha górskiego. Właśnie gdy miałem już lądować, zauważyłem jakieś postacie zmierzające w górę wąwozu. Początkowo nie mogłem się nawet zorientować, kim właściwie były, ponieważ celowo ukrywały się przede mną za drzewami. Lecz gdy tylko silnik samolotu zamarł, wyszły nagle z ukrycia. Ujrzałem dwunastu ludzi uzbrojonych we włócznie, łuki i strzały. Mieli na sobie jedynie skórzane przepaski na biodrach. Za przepaskami tkwiły długie noże. Włosy przybyszów były mieszanego koloru, a ich ciała brudne i niesamowicie wynędzniałe. Zaczęli skradać się w moim kierunku, korzystając z osłony, jaką dawał im teren. Gdy byli już dostatecznie blisko, zobaczyłem, że mierzą do mnie z łuków.

Komitet powitalny nie wyglądał więc zachęcająco. Zdaje się, że nie byłem tu pożądanym gościem. Wiedziałem, że jeżeli pozwolę im zbliżyć się do mnie na odległość strzału z łuku, cała seria strzał posypie się na mnie. A więc musiałem jakoś temu zapobiec. Wstałem i wymierzyłem do nich z pistoletu. Najwyraźniej przestraszeni, natychmiast ukryli się za skałami i okolicznymi drzewami.

Musiałem dokonać przeglądu silnika, aby stwierdzić, czy będę w stanie usunąć awarię. Najpierw trzeba było jednak w jakiś sposób pozbyć się tych mężczyzn z Punos. Mogłem spróbować odciągnąć ich z tego miejsca, lecz mieli nade mną przewagę: znali teren i było ich znacznie więcej. Nawet jeżeli kilku z nich uda mi się pojmać, to z pewnością nie wszystkich. Obawiałem się, że pozostali wrócą, poczekają, aż się ściemni, i wtedy mnie zaatakują.

Wyglądało na to, że wpadłem w niezłą kabałę. W końcu postanowiłem wyjść z kokpitu i dowiedzieć się, o co im chodzi. Właśnie wtedy jeden z nich wysunął głowę znad skały i coś do mnie krzyknął. Zwrócił się do mnie w jednym z pięciu języków, których zdążyłem się już na Polo-dzie nauczyć.

— Jesteś Unisaninem? — zapytał.

— Tak — odparłem.

— A więc nie musisz strzelać — powiedział. — Nic ci nie grozi.

— Jeżeli to prawda, to odejdźcie stąd.

— Musimy z tobą porozmawiać — odpowiedział Punos.
— Chcemy się dowiedzieć, co się dzieje na wojnie i czy jest nadzieja, że się kiedykolwiek skończy.

— Jeden z was może podejść — powiedziałem. — Ale tylko jeden.

— Ja podejdem — usłyszałem. — Lecz naprawdę nie masz potrzeby się nas obawiać.

Po chwili zbliżył się do mnie stary mężczyzna o pomarszczonej skórze i olbrzymim brzuchu, który z trudnością utrzymywały kościste nogi. Siwe włosy pozlepiane były w tłuste pasma, a w brodzie można było dostrzec kilka siwych włosów, co na Polodzie oznacza bardzo sędziwy już wiek.

— Kiedy zobaczyłem twój niebieski mundur, byłem pewien, że jesteś Unisaninem — powiedział. — Kiedyś, bardzo dawno temu, mieszkańcy Punos i Unisu żyli w wielkiej przyjaźni. Tak było przez wiele pokoleń. Kiedy po raz pierwszy zaatakowali nas Kaparzy, Unisi pospieszyli nam z pomocą, chociaż sami również nie byli do wojny przygotowani. Niestety, zanim Unis stał się potęgą, byliśmy już całkowicie ujarzmieni, a całe terytorium Punos zostało zajęte przez Kaparów. To z naszych wybrzeży startowały ich samoloty, tam też zainstalowali olbrzymie działa. Po pewnym czasie Unisi zbudowali ogromną flotę powietrzną i wypędzili Kaparów. Jednak dla nas było już za późno.

— Jak wam się żyje? — zapytałem.

— Bardzo ciężko — odpowiedział. — Kaparzy co jakiś czas tu przybywają i, jeśli odkryją jakiegokolwiek pole uprawne, natychmiast je niszczą. Lecą zazwyczaj nisko nad ziemią i strzelają do każdego człowieka, który pojawi się w zasięgu ich wzroku. Ciężko jest żyć na otwartej przestrzeni. Dlatego też przenieśliśmy się w góry i tu zamieszkujemy. Odżywiamy się rybami, drobną zwierz-

ną, roślinami i wszystkim, co uda nam się *znaleźć*. Wiele lat temu — ciągnął — Kaporzy mieli tu przez jakiś czas bazę wojskową. Ich żołnierze wybijali wszystko, co wpadło im w ręce: zwierzęta, ptaki, mężczyzn, kobiety i dzieci. Zaledwie kilkuset mieszkańców Punos ukryło się w niedostępnych górskich pieczarach. Minęły lata i, by nie umrzeć z głodu, sami wybiliśmy resztę zwierzyny, zanim zdążyła się rozmnożyć.

— A więc nie macie w ogóle mięsa? — zapytałem,

— Jedynie wtedy, gdy Kaporzy znajdują się w naszej okolicy — odpowiedział. — Mielśmy nadzieję, że upolujemy Kapara, ale skoro jesteś Unisaninem, nic ci nie grozi.

— Dlaczego teraz, kiedy nikomu już nie zagrażacie, Kaporzy nie pozwolą wam na uprawę ziemi?

— Dlatego, że nasi przodkowie stawiali im opór, kiedy po raz pierwszy najechali nasz kraj. Chcieli nas zniszczyć z żądz panowania nad światem i z nienawiści do ludzi. Teraz obawiają się, abyśmy znowu się nie odrodzili i nie stali dla nich niebezpieczni.

Harkas Yen opowiadał mi kiedyś o Punos i ja również czytałem trochę o tym kraju w historii Polody. Był on niegdyś zamieszkały przez inteligentną, męzną rasę o wspańialej kulturze. Statki należące do Punos pływały po czterech wielkich oceanach Polody, dostarczając towary mieszkańcom pięciu kontynentów. W centrum Punos znajdował się region rolniczy z licznymi farmami, gdzie wypasano olbrzymie stada bydła. Natomiast wzdłuż wybrzeża ciągnęły się niezwykle bogate tereny połowu ryb oraz wznosiły się miasta ze wspańiale rozwiniętym przemysłem.

Patrzyłem na tego nieszczęśnika stojącego przede mną i myślałem: oto do czego zwyrodniała, szaleńcza decyzja jednego człowieka może doprowadzić bogaty, szczęśliwy naród.

— Czy twój samolot nie może odlecieć? — zapytał.

— Nie wiem — odpowiedziałem. — Muszę sprawdzić silnik.

— Lepiej pozwól przepchnąć go do wąwozu — powiedział. — Będzie tam dobrze ukryty przed Kaparami. Oni często tędy przelatują.

W tym starym człowieku było coś wzbudzającego zaufanie. Ponieważ jego propozycja wydawała się rozważna, zaakceptowałem ją. Stary Punijczyk zawołał swych towarzyszy, a oni zeszli wąwozem w dół: jedenaście brudnych, wynędzniałych stworzeń w różnym wieku. Wiedziałem, że próbowali się do mnie uśmiechnąć, lecz nic im z tego nie wychodziło. Prawdopodobnie te partie mięśni twarzy, nie używane od pokoleń, teraz już nie funkcjonowały.

Pomogli mi zepchnąć samolot do wąwozu, gdzie ukryty pod olbrzymim drzewem był prawie niewidoczny z góry. Zupełnie zapomniałem o moich martwych towarzyszach na pokładzie samolotu. Lecz jeden z Punijczyków wspiął się na skrzydło maszyny i odkrył dwa ciała z tyłu kokpitu. Wiedziałem, że na podłodze leży jeszcze jedno ciało. Zadrżałem na myśl, co mogło temu nieszczęśliwemu przyjść do głowy.

— W samolocie są martwi ludzie— odezwał się Punijczyk do swych kompanów.

W tym momencie starzec, który był chyba ich przywódcą, wspiął się na skrzydło i zajrzał do środka. Następnie odwrócił się w moją stronę.

— Czy możemy pochować twoich kolegów? — zapytał.

Wówczas poczułem, jak ogromny ciężar spada mi z serca.

Punijczycy pomogli mi zdjąć z ciał pasy z nabojami oraz mundury. Następnie wygrzebali przy pomocy noży płytke groby, w których złożyli moich poległych kolegów. Kiedy ten smutny obrządek się zakończył, zabrałem się do silnika, a dwunastu Punijczyków przyglądało się uważnie

mojej pracy. Zadawali mi mnóstwo pytań dotyczących wojny i szans na jej zakończenie. Ja jednak nie miałem dla nich, niestety, żadnych pocieszających wieści.

Znalazłem wreszcie usterkę w silniku. Wiedziałem, że nie będę miał problemu z jej usunięciem, ponieważ w samolocie znajdowały się wszelkie niezbędne narzędzia i części zamienne. Jednak zapadał już zmierzch i w tej sytuacji zdawałem sobie sprawę, że będę musiał odłożyć naprawę do następnego dnia. Stary Punijczyk zaproponował mi, abym odwiedził ich wioskę i spędził w niej noc. Mogłem przespać się w samolocie, lecz powodowany zwykłą ciekawością postanowiłem przyjąć zaproszenie.

Zanim wyruszyliśmy w stronę wioski, starzec nieśmiało dotknął mego ramienia.

— Czy możemy zabrać broń i amunicję twoich zmarłych przyjaciół? — zapytał. — Potrzebujemy broni, aby zabijać Kaparów.

— A wiecie, jak się nią posługiwać? — Niedowierzanie zabrzmiało w moim głosie.

— Tak — odpowiedział. — Znaleźliśmy trochę broni przy ciałach Kaparów, którzy się tutaj rozbili i przy tych, których sami zabiliśmy. Nie mamy już jednak amunicji. Zużyliśmy cały zapas.

Podążyłem za nim w górę wąwozu, a następnie wąskim, urwistym szlakiem, który nas doprowadził do niewielkiej, uroczej równiny na zboczu stromego szczytu. Z położonego nieco wyżej urwiska do małego jeziora u jego stóp tryskał wodospad, który następnie, już jako górski strumień, przepływał przez równinę i jakieś półtora kilometra dalej spadał kaskadą z kolejnego urwiska. Wzdłuż brzegu strumienia rosły wspaniałe drzewa. I właśnie wśród tych drzew ukryta była wioska niedostępna dla Kaparów.

A więc również i na tym odludziu nieliczni jego mieszkańcy nie czuli się wcale bezpiecznie. Najwyraźniej całe

życie na Polodzie toczyło się w ukryciu. Trudno nawet sobie wyobrazić, że kiedyś żyło się tu inaczej, że po powierzchni planety można było swobodnie się poruszać bez konieczności chowania się wśród drzew lub w podziemnych kryjówkach. Ciekawe, czy gdzieś tam daleko, w moim świecie, też kiedyś do tego dojdzie. Nie mogłem w to uwierzyć. A przecież i tu, na Polodzie, przez całe wieki, aż do chwili rozpoczęcia tej strasznej wojny, nikt nie przypuszczał, że tak może wyglądać życie.

W wiosce mieszkało stu ludzi: czterdzieści kobiet, pięćdziesięciu mężczyzn i dziesięcioro dzieci — biednych, wychudzonych stworzonek, o patykowatych kończynach i przerażająco dużych brzuchach. Był to skutek zapełniania żołądków trawą, korzonkami i liśćmi, aby tylko oszukać głód.

Gdy wieśniacy zobaczyli nas, wybiegli naprzeciw w nadziei, że otrzymają coś do jedzenia. Na widok mojego munduru natychmiast się zatrzymali.

— On jest naszym przyjacielem i gościem — odezwał się starzec. — Zabił wielu Kaparów i podarował nam broń i amunicję, abyśmy my także mogli ich zabijać.

Po chwili ośmieleni wystąpieniem swego przywódcy otoczyli mnie ze wszystkich stron, zadając dziesiątki pytań. Większość z nich dotyczyła wyżywienia w Unisie. Wydawali się ogromnie zaskoczeni wiadomością, że nie mamy z tym żadnych problemów. Byli przekonani, że Kaparzy kompletnie zniszczyli Unis, tak jak uprzednio Punos.

Małe dzieci podeszły do mnie i bojaźliwie poczęły mnie dotykać. Dla nich byłem istotą z innego świata. One dla mnie były żywym oskarżeniem nieludzkiego reżimu. Myśliwi, których polowanie zakłóciłem, przynieśli ze sobą jedynie parę małych gryzoni i niedużego ptaszka. Kobiety rozpały ogień i postawiły na nim duży garnek z niewielką ilością wody. Następnie oskubały ptaka z piór, ściągnęły z gryzoni skórę i wrzuciły zwierzęta bez czyszczenia do

garnka. Do tego dodały zioła, korzenie i pełne garście trawy.

— Z tego ugotuje się trochę zupy dla dzieci na śniadanie — wyjaśniła mi stara kobieta, ostrożnie odkładając na bok ściągnięte z gryzoni skóry.

Kawałkiem patyka cały czas mieszały tę ohydną breję. Kiedy zawrzała, dzieciarnia zebrała się dookoła, aby wdychać unoszącą się parę. Dorośli również patrzyli żarłocznym wzrokiem na garnek.

Nigdy jeszcze nie widziałem głodujących ludzi i błagałem Boga, abym nigdy więcej nie musiał oglądać takich scen, szczególnie wtedy, gdy nic nie mogę pomóc. Kiedy tak ich obserwowałem, wcale się już nie dziwiłem, że zjadali Kaparów. Uważam, że wykazali bardzo dużo silnej woli pozostawiając mnie przy życiu. Gdy te nieszczęsne matki patrzyły na mnie, mogłem sobie wyobrazić, o czym myślały. Widziały zapewne jedynie platy mięsa, z którego musiały zrezygnować, mimo że ich dzieci głodują.

W społeczności, gdzie było czterdzieści kobiet, znajdowało się tylko dziesięcioro dzieci. Przy panującej tu wysokiej śmiertelności i katastrofalnym wręcz głodzie graniczyło to prawie z cudem, że nawet te nieliczne dzieci przeżyły. Zdawałem sobie sprawę, że przyglądam się wymierającej rasie, która już wkrótce całkowicie przestanie istnieć. Pomyślałem sobie, że tkwi jakiś błąd we wszystkich religiach wszechświata, jeżeli może się dziać coś tak tragicznie niesprawiedliwego. Ci biedacy umierają z głodu, podczas gdy Kaparzy, sprawcy ich nieszczęścia, żyją z poczuciem bezkarności i dalej prowadzą swą ludobójczą politykę.

Wreszcie gotujący tę obrzydliwą strawę stwierdzili, że jest już gotowa i rozdano jakieś szkaradne gliniane skorupy, do których przywódca wioski zaczął rozlewać zawartość garnka dużą drewnianą chochlą. Kiedy podszedł do mnie, pokręciłem przecząco głową, a on wydawał się być tym wyraźnie dotknięty.

— Czy nasze pożywienie jest dla ciebie zbyt nędzne? — zapytał.

— To nie o to chodzi — odpowiedziałem. — Nie jestem głodny, a jutro będę już jadł w domu. Nie mogę wam odbierać posiłku. Przecież u was głodują nawet dzieci.

— Wybacz mi — odezwał się mężczyzna. — Jesteś bardzo dobrym człowiekiem. Dzieci dostaną twoją porcję.

Zanurzył ponownie łyżkę w garnku i rozdzielił jej zawartość pomiędzy dziesiątkę małych Punijczyków. Wystarczyło zaledwie po łyku dla każdego, lecz dzieci były z tego powodu tak wdzięczne, że po raz kolejny łzy napłynęły mi do oczu.

Ostatnio coraz częściej się roztkliwiałem, lecz zanim przybyłem na Polodę, nigdy nie widziałem tyle nieszczęścia i cierpienia, a jednocześnie tyle odwagi i hartu ducha, jak tu, na tej biednej, wyniszczonej wojną planecie.

Następnego ranka cała wioska towarzyszyła mi w dół wąwozu, by zobaczyć, jak odlatuję do Orvis. Trzech mężczyzn poszło przed nami na zwiady. Kiedy zeszli do wąwozu, jeden z nich wrócił biegiem do nas. Widziałem, że jest czymś niezwykle podniecony. Z daleka dawał nam znaki rękami, abyśmy byli cicho.

— Przy twoim samolocie kręci się Kapar — odezwał się szeptem.

— Muszę pójść pierwszy — powiedziałem do wodza. — Boję się, że dojdzie do strzelaniny.

— Powinniśmy byli zabrać ze sobą broń — powiedział przywódca Punijczyków. — Dlaczego o tym nie pomyślałem?

I natychmiast wysłał trzech mężczyzn, by jak najszybciej po nią pobiegli.

Szedłem wzdłuż wąwozu, aż dotarłem do tych dwóch mężczyzn, którzy uprzednio poszli na zwiady. Byli ukryci za krzakami i dawali mi znaki, abym również się ukrył, ale ja miałem inne plany. Pobiegłem do przodu. Kiedy znalazłem się w miejscu, skąd widać już było samolot, ujrzałem, jak na jego skrzydło zaczął się wspinać jakiś człowiek. To był z pewnością Kapar. Strzelając ruszyłem w jego kierunku. Chybiłem, a on odwrócił się w moją stronę i podniósł ręce w górę w geście poddania. Idąc w jego kierunku przez

cały czas trzymałem go na muszecie. Gdy byłem już całkiem blisko, przekonałem się, że nie był uzbrojony.

— Co tu robisz, Kaparze? — zapytałem.

Podszedł do mnie wciąż z rękami w górze.

— Na honor i chwałę Unisu — odezwał się — Nie jestem Kaparem.

Zdjął szary hełm, spod którego ukazały się blond włosy. Wiedziałem jednak, że zdarzali się również Kaparzy blondyni. Musiałem być rozważny.

— Jeżeli jesteś Unisaninem, udowodnij to — powiedziałem. — Blond włosy to jeszcze nie wszystko. Kim jesteś i skąd pochodzisz?

— Nazywam się Balzo Jan — odpowiedział. — I pochodzę z miasta Orvis.

Balzo Jan — tak nazywał się brat Balzo Maro, który podobno został zestrzelony kilka dni temu podczas bitwy. To mógł być on, lecz wciąż nie byłem pewny.

— Jak się tu znalazłeś? — zapytałem.

— Zostałem zestrzelony w walce o jakieś trzysta kilometrów stąd — odpowiedział. — Udało nam się szczęśliwie wylądować, lecz Kaparzy, którzy to zauważyli, postanowili nas wykończyć. Ich było czterech, nas trzech. Ocalałem tylko ja. Wiedziałem, że jestem gdzieś w Epris, a więc na terytorium całkowicie opanowanym przez Kaparów. Zabrałem mundur Kapara, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo.

— Dlaczego nie zabrałeś także jego broni i amunicji?

— Ponieważ amunicji już nie było — odpowiedział. — A broń bez amunicji to jedynie zbędny bagaż.

— Może i mówisz prawdę — powiedziałem. — Nie wiem... Wymień imiona kilku przyjaciół twojej siostry.

— Proszę bardzo. Jej najlepszymi przyjaciółmi są Har-kas Yamoda i Harkas Don: córka i syn Harkas Yena.

— Chyba mówisz prawdę — odezwałem się. — Z tyłu

kokpitu jest kilka mundurów. Przebierz się w któryś z nich. Później spróbujemy zreperować silnik.

— Spójrz! — krzyknął mój nowy współtowarzysz. — Jacyś ludzie idą w naszą stronę. Chyba zamierzają nas zaatakować.

Odwrociłem się w stronę do niedawna przyjaźnie nastawionych Punijczyków, którzy teraz skradali się ku nam z lukami przygotowanymi do strzału.

— Wszystko w porządku — krzyknąłem do nich. — To przyjaciel.

— Jeżeli on jest twoim przyjacielem, to ty musisz być Kaparem — odkrzyknął przywódca Punijczyków.

— On nie jest Kaparem — powtarzałem z uporem. Odwróciłem się jednocześnie do Balzo Jana z poleceniem, aby natychmiast przebrał się w niebieski mundur.

— Może nas oszukałeś — zakrzyknął Punijczyk. — Właściwie to skąd mamy mieć pewność, że ty również nie jesteś Kaparem?

— Nasze dzieci są głodne — krzyknęła z góry wąwozu jakaś kobieta. — Nasze dzieci są głodne, my jesteśmy głodni, a oto dwaj Kaparzy. Zabijcie ich.

To przestało być zabawne. Tłum mężczyzn podchodził coraz bliżej. Wkrótce będą na odległość strzału z łuku. Schowałem broń w momencie, gdy przekonałem się, że Balzo Jan nie jest oszustem. Gdy teraz szedłem na spotkanie z Punijczykami, nie miałem zamiaru ponownie jej wyciągać.

— Jesteśmy przyjaciółmi — powiedziałem. — Widzisz, nie boję się was. Czy dałbym wam pistolety i amunicję, gdybym był Kaparem? Czy oszczędziłbym tego człowieka, gdybym nie był pewien, że jest Unisaninem?

Mój rozmówca pokiwał głową.

— To prawda — powiedział. — Nie dałbyś nam broni i amunicji, gdybyś był Kaparem. Ale skąd masz pewność, że ten człowiek nie jest Kaparem? — dodał podejrzliwie.

— Ponieważ jest bratem mojej przyjaciółki — wyjaśniłem. — Został zestrzelony nad terytorium Kaparów. Ażeby ująć z życiem, przebrał się w mundur Kapara, którego zabił.

W tej chwili z samolotu wyszedł Balzo Jan ubrany już w niebieski mundur, buty i hełm Sił Powietrznych Unisu.

— Spójrz, czy on wygląda na Kapara? — zapytałem.

— Rzeczywiście nie — odpowiedział Punijczyk. — Musisz nam wybaczyć. Moi ludzie nienawidzą Kaparów i są przeraźliwie głodni.

Za pomocą Balzo Jana szybko naprawiłem silnik i już w południe byliśmy gotowi do odlotu. Kiedy samolot wystartował, tam w dole długo jeszcze stali punijscy wieśniacy, spoglądając z zazdrością na samolot zabierający nas do kraju, gdzie ludzie nie znają głodu.

Gdy znaleźliśmy się nad grzbietem górskim, z lewej strony ujrzałem trzy samoloty. Leciąły na południowy zachód w stronę Kaparii.

— Coś mi się zdaje, że to Kaparzy — powiedział Balzo Jan, któremu bardziej niż mnie znane były formacje lotnicze na Polodzie.

Gdy obserwowaliśmy te samoloty, nagle zmieniły kierunek, chcąc najwyraźniej zbliżyć się do nas i sprawdzić, kim jesteśmy. Jeżeli byli Unisanami, nic nam nie groziło. Jeśli byli to Kaparzy, również mogliśmy się czuć bezpieczni, ponieważ ich samoloty były znacznie wolniejsze od naszego. Gdyby było inaczej, dawno by nam przecięli drogę, mając ku temu znakomitą okazję.

Lecieliśmy z prędkością około sześciuset czterdziestu kilometrów na godzinę. Nie mogliśmy sobie pozwolić na podjęcie walki z Kaparami, ponieważ ich cztery działa pokładowe przeciwko naszym dwóm dawały nam niewielkie szanse zwycięstwa. Musiałem zwiększyć szybkość, aby się od nich oderwać. W tym celu odsunąłem zawór dławiący,

lecz samolot w ogóle nie zareagował. Zawiadomiłem o tym Balzo Jana.

— A więc będziemy musieli walczyć — powiedział. — A ja tak bardzo chciałem być już w domu i zjeść coś przyzwoitego. Właściwie od trzech dni nie miałem nic w ustach.

Rozumiałem go doskonale. Ja również od dłuższego już czasu nic nie jadłem. Poza tym miałem na razie dosyć walki.

— Tak, to Kaparzy — odezwał się Balzo Jan.

Teraz nie było już co do tego żadnych wątpliwości. Czarne skrzydła i kadłuby ich samolotów były doskonale widoczne. Wyglądało na to, że spotkamy się z nimi nad wyspą w pobliżu południowego cypla Unisu, dokładnie nad ostatnią, a zarazem największą z trzech wysp, którą zwą Wyspą Rozpaczy. Wysyłani są na nią więźniowie, którym darowano karę śmierci, oraz podejrzani o brak lojalności wobec państwa Unisanie, których jednak z braku dowodów nie można oskarżyć o zdradę.

Mocowałem się ze sterami, na próżno usiłując choć trochę przyspieszyć, kiedy przeleciał nad nami pierwszy pocisk. Jeden z nieprzyjacielskich samolotów zbliżał się do nas, atakując od frontu serią pocisków z działa umieszczonego w przedniej części kokpitu. Balzo Jan w odpowiedzi wpakował w niego kilkanaście pocisków z ładunkami wybuchowymi. Ujrzałem, jak w tym momencie odpada śmigło i maszyna lotem ślizgowym spada na Wyspę Rozpaczy.

— Załatwiony! — krzyknął Balzo Jan.

Nieoczekiwanie mój silnik znów zaczął sprawnie działać, dzięki czemu już bez problemów oderwaliśmy się od pozostałych dwóch samolotów. Trafili nas chyba z pięćdziesiąt razy, lecz plastik, z którego zbudowany był kadłub i skrzydła, wytrzymał ten ostrzał bez problemu. Jedyne pocisk, który by trafił w śmigło lub w tablicę rozdzielczą,

mógł spowodować katastrofę. Te bardzo szybkie, a zarazem niezwykle lekkie pościgowce, do których zaliczał się nasz samolot, mogą obawiać się jedynie ciężkich samolotów bojowych lub bombowców.

— Nie znoszę uciekać przed Kaparami! — krzyknąłem. — Może zwolnimy i załatwimy ich?

— Nie mamy prawa bez potrzeby narażać samolotu i naszego życia — powiedział Balzo Jan.

To prawda. Balzo Jan miał rację. Tak więc jeszcze bardziej zwiększyłem szybkość, zostawiając Kaparów daleko w tyle. Nasi przeciwnicy po chwili zmienili kierunek, udając się w stronę domu.

W przednim kokpicie samolotu są dwa miejsca dla pilotów i stery. W tylnym natomiast znajdują się stery zapasowe. Jednak rzadko się zdarza, aby obydwaj piloci siedzieli w kokpicie przednim, ponieważ wyposażony jest on tylko w jedno działo i w czasie walki drugi pilot siedzący z przodu byłby bezużyteczny. Teraz jednak poprosiłem Balzo Jana, aby usiadł przy mnie.

— Jeżeli znowu zobaczysz jakichś Kaparów, będziesz mógł wrócić do swego działła — powiedziałem.

— Słuchaj — zwrócił się do mnie Balzo Jan. — Od czasu, jak pierwszy raz zobaczyłeś mnie przy swoim samolocie, tak bardzo byliśmy zajęci, że nie miałem okazji zapytać, jak ty się właściwie nazywasz. Znam wielu ludzi w naszych siłach powietrznych, lecz nie przypominam sobie, abym cię kiedykolwiek spotkał.

— Nazywam się Tangor — odpowiedziałem.

— Ach, to ciebie więc spotkała moja siostra w ogrodzie kilka miesięcy temu, po nalocie Kaparów? — zapytał.

— Zgadza się, tak było — rzekłem. — Widziałem twoją siostrę u Harkasów wieczorem, w dniu poprzedzającym mój ostatni lot. Była pogrążona w głębokim smutku po otrzymaniu wiadomości o twojej rzekomej śmierci.

— Moja siostra nie rozpaczałaby — powiedział dumnie.

— No cóż, nie okazywała tego, swą rozpacz skryła w głębi serca. A to czasami jest jeszcze gorsze, szczególnie dla kobiety. Płacz najczęściej przynosi ulgę. Myślę, że kobiety na Polodzie bardzo tego potrzebują.

— Wydaje mi się, że nasze kobiety też kiedyś płakały — powiedział Balzo Jan. — Lecz teraz już tego nie robią. Gdyby za każdym razem miały płakać, to już na nic innego nie wystarczyłoby im czasu. Nie możemy sobie na to pozwolić. Czeka nas tyle pracy. Jest przecież wojna.

J est wojna! Te słowa zwykle słyszało się w każdej sytuacji, szczególnie gdy trzeba było coś wyjaśnić czy też dać odpowiedź na jakieś trudne pytanie. Wojna przepelniała każdą ich myśl, decydowała o każdej wykonywanej pracy. Począwszy od narodzin aż do śmierci znana im była jedynie wojna. Przez całe życie każde ich działanie miało jedno na celu: lepsze przystosowanie kraju do wojny.

— Wydawało mi się, że powinieneś nienawidzić wojny — odezwałem się do Balzo Jana.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

— A niby dlaczego? Co byśmy robili, gdyby nie było wojny?

— Ale kobiety... — powiedziałem. — Co stanie się z nimi?

— Tak, to prawda — odpowiedział. — Ciężkie mają życie. Mężczyźni umierają tylko raz, podczas gdy kobiety cierpią niezliczoną ilość razy. No cóż, ale ja nie mogę wyobrazić sobie życia b.ez wojny.

— Pomyśl, moglibyście wyjść w końcu na światło dzienne — odpowiedziałem. — Moglibyście odbudować miasta i poświęcić więcej czasu na przyjemności, moglibyście handlować z innymi krajami i podróżować, aby poznać nowych ludzi i zawierać z nimi przyjaźnie. Czy to nie fantastyczna wizja, dla której warto żyć?

Balzo Jan przyjrzał mi się sceptycznie.

— Czy właśnie taki jest świat, z którego przybyłeś? — zapytał.

— No cóż, gdy byłem tam po raz ostatni, taki nie był — przyznałem. — Wtedy kilkanaście krajów znajdowało się w stanie wojny.

— No więc widzisz — ciągnął Balzo Jan. — Wojna jest naturalną potrzebą człowieka, bez względu na to, w jakim świecie żyje.

Znajdowaliśmy się teraz nad południowym krańcem Unisu. Z lewej strony widać było majestatyczne szczyty Gór Loras, z prawej dużą rzekę, która wypływała na południe od Orvis i wpadała do morza dwa tysiące czterysta kilometrów od swego źródła. Jest to rzeczywiście potężna rzeka, porównywalna z naszą Amazonką.

Kraina leżąca przed nami urzekła swoim pięknem. Nigdzie nie było widać śladów zniszczeń. Tutejsze oddziały porządkowe po każdym nalocie natychmiast je usuwały i, jak widać, robiły to skutecznie. Zielone pola rozciągały się we wszystkich kierunkach, jakby na przekór barbarzyńskim Kaporom, dążącym do zniszczenia wszelkich śladów życia na planecie.

Gdy tak spoglądałem z góry, ziemia ta Wyglądała jak biblijny raj. Zastanawiałem się, czy to jest właśnie to „pozaziemskie życie”, do którego trafiłem w sposób dla mnie nie wyjaśniony i o którym marzą miliony ludzi z mego dawnego świata. Myślę, że życie to istnieje również na innych planetach, a we Wszechświecie są przecież miliardy zupełnie nie znanych nam planet.

Kiedy zwierzyłem się Balzo Janowi ze swoich myśli, odparł:

— Dawno temu, kiedy jeszcze nie było wojny, nasi przodkowie wierzyli, że człowiek po śmierci przenosi się na Uwał, jedną z planet naszego systemu słonecznego, po drugiej stronie Omos. Teraz jednak nie mamy czasu na religię. Mamy czas jedynie na wojnę.

Yamoda, maleńka Yamoda, cała pokiereszowana. Na jej wargach ujrzałem krew. Wydawało się, że nie żyje, ale ja nie mogłem, nie chciałem w to uwierzyć. Przyłożyłem ucho do jej piersi i wstrzymałem oddech. Usłyszałem leciutkie, prawie niedosłyszalne bicie serca. Wziąłem drobniutką postać w ramiona i zaniósłem do samolotu.

— To Harkas Yamoda — odezwałem się do Balzo Jana, podając mu nieprzytomną dziewczynę. — Jeszcze żyje! Połóż ją delikatnie z tyłu kokpitu.

Kiedy wskoczyłem do samolotu, poprosiłem Balzo Jana, aby zastąpił mnie przy sterach, a sam wziąłem Yamodę na ręce i trzymałem ją tak delikatnie, jak tylko potrafiłem, podczas gdy samolot podskakiwał na nierównej powierzchni, zanim wreszcie wzbil się w górę.

Wytarłem krew z jej ust. To wszystko, co mogłem w tej chwili uczynić. Pozostawała jedynie modlitwa o cud. Ostatni raz modliłem się jako mały chłopiec siadający jeszcze na kolanach matki. Pamiętam, jak zastanawiałem się wówczas, czy naprawdę Bóg istnieje i czy usłyszy mnie z tak daleka. Bo przecież wierzyłem, że jeśli istnieje, to mieszka na pewno gdzieś bardzo wysoko w niebieskich przestworzach.

Minęło zaledwie piętnaście do dwudziestu minut i Balzo Jan wylądował na obrzeżach Orvis. Podkołował pod rampę prowadzącą do naszego podziemnego lotniska.

Ponieważ często się zdarza, że powracające z walki samoloty mają na pokładzie rannych, przy każdym lotnisku stoją zawsze w pogotowiu sznury ambulansów. W pobliżu znajduje się również szpital, do którego ranni natychmiast są transportowani. Właśnie do takiego szpitala przewiozłem Harkas Yamodę. Przedtem poprosiłem Balzo Jana, aby zaawiadomił o wszystkim ojca dziewczyny.

Yamoda była w bardzo ciężkim stanie. Chirurdzy niezwłocznie przystąpili do operacji, a ja chodziłem w kółko pod drzwiami sali zabiegowej, przeżywając straszliwe męki

niepewności, czy nie przywiozłem Yamody za późno. Dzięki wspaniałym umiejętnościom lekarzy operacja nie trwała zbyt długo, ale mnie wydawało się, że minęły całe wieki. Kiedy Yamoda została już umieszczona w swoim pokoju, do szpitala przybyli jej rodzice i brat. Cała nasza czwórka stała nad nieprzytomną, maleńką postacią, leżącą nieruchomo na szpitalnym łóżku.

— Czy wiecie, co się właściwie wydarzyło? Jak doszło do tej tragedii? — zapytałem Harkas Yena.

Pokiwał głową.

— Tak — odpowiedział. — Była na wycieczce z przyjaciółmi, kiedy zostali zaatakowani przez Kaparów. Mężczyźni dzielnie walczyli i kilku Kaparów udało im się zabić. Dziewczęta uciekły, lecz Yamoda została ujęta i Kaparzy zabrali ją ze sobą do samolotu.

— Ona musiała z tego samolotu wyskoczyć — odezwał się Don.

— Samoloty! — powiedziała gorzko matka Yamody. — Samoloty! Przekleństwo świata. Kiedy po raz pierwszy samolot wzbił się w powietrze, jego konstruktorzy obsypani zostali największymi zaszczytami. Ten wynalazek miał zbliżyć do siebie wszystkie narody naszej planety. To samoloty miały pokonać bariery strachu i podejrzeń, a jednocześnie wszystkich stworzyć lepszy, szczęśliwszy świat. Dzięki nim rozwój cywilizacji miał być przyspieszony o co najmniej sto lat. A do czego doprowadzono? Cywilizacja na Polodzie w dziewięćdziesięciu procentach już nie istnieje. Pozostałe dziesięć procent w przyspieszonym tempie zanika. Zniszczono setki tysięcy miast i zabito miliony ludzi, a ci, którzy przeżyli, zostali zepchnięci pod ziemię i żyją w norach jak szczury. Samoloty! Przekleństwo wszechczasów! Nienawidzę ich! Zabrały mi trzynastu synów, a teraz zabierają mi córkę.

— To wojna — powiedział Harkas Yen ze spuszczoną głową.

— To nie wojna — wykrzyknęła kobieta, wskazując z rozpaczą na nieruchome ciało córki.

— Nie, to już nie wojna. — powiedziałem. — To tylko grabież i mord.

— A czego można się spodziewać po Kaparach? Jednak drogo mi za to zapłacą — powiedział Harkas Don.

— Tak, za to zapłacą drogo — powtórzyłem za Harkas Donem.

Po chwili do pokoju weszli chirurdzy. Spojrzeliśmy na nich pytająco, z trwogą oczekując na wyrok. Starszy z nich położył rękę na ramieniu matki Yamody i uśmiechnął się mówiąc:

— Będzie żyła. Zagrożenie już minęło.

Tak, to prawda, samoloty używane podczas wojny to przekleństwo dla ludzkości. Lecz prawdą jest również, że gdyby nie samolot, brat Balzo Maro nie wróciłby do domu, a mała Yamoda straciłaby życie.

— Słuchajcie! Syreny znowu ogłaszają alarm.

**CZEŚĆ
DRUGA**

**TANGOR
POWRACA**

PROLOG

To zupełnie naturalne, że moja wyobraźnia wciąż zajęta była spekulacjami dotyczącymi dalszych losów Tangora, od czasu gdy tajemnicze, astralne palce wypisały na maszynie niesamowitą historię jego przygody na Polodzie — zagadkowej planecie oddalonej od Ziemi o jakieś czterysta pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych. A wydarzyło się to pewnego dnia o północy, kiedy siedziałem przy mojej maszynie do pisania. Przyglądałem się temu zjawisku zaskoczony, oszołomiony i jednocześnie zafascynowany, a moje ręce przez cały czas spoczywały nieruchomo na kolanach.

W taki oto sposób dowiedziałem się o jego śmierci nad terytorium niemieckim we wrześniu 1939 roku. Wtedy właśnie został zestrzelony w walce z trzema meserszmitami. Następnie, w sposób absolutnie niewytłumaczalny, pojawił się w zupełnie innym świecie jako żywy, całkowicie zdrowy człowiek, ale zarazem nagi jak w chwili przyjścia na świat.

Przyglądałem się dokładnie każdej linijce, którą pisał. Z zaciekawieniem śledziłem opis podziemnego miasta z jego olbrzymimi budynkami, które w czasie nalotów kaparskich bombowców były opuszczane głęboko pod ziemię. W nalotach tych uczestniczyły tysiące wrogich samolotów, które zrzucały śmiertelne ładunki od ponad stu lat, bo tyle trwała już ta woj-

Edgar Rice Burroughs

na. Przeżywałem jego przygody od czasu, gdy został lotnikiem Sił Powietrznych Unisu. Razem z nim rozpaczalem nad łóżkiem Harkas Yamody. A gdy lekarze orzekli, że dziewczyna będzie żyła, w moich oczach, tak jak zapewne w jego, ukazały się łzy radości.

I ta ostatnia napisana przez niego linijka: „Słuchajcie! Syreny znowu ogłaszają alarm”.

To było wszystko. Od tamtej chwili, gdy niewidzialne ręce wypisały to zdanie, wielokrotnie o północy siadałem przed maszyną do pisania z nadzieją w sercu. Zastanawiałem się, czy Tangor wrócił z tej walki, do której wezwał go alarm. A może zginął powtórnie i tym razem ostatecznie?

Już prawie się poddałem. Stwierdziłem, iż moje nocne czuwanie nie ma sensu, gdy pewnego razu tuż przed północą obudziło mnie jakieś dziwne dotknięcie. To było jednak tylko światło księżyca. Ledwie dostrzegalem przedmioty w moim pokoju, mimo to byłem pewny, że poza mną nikogo w nim nie ma. Zapaliłem światło u wezglowia łóżka. Wtedy usłyszałem i zobaczyłem, jak klawisze maszyny do pisania opadają i podnoszą się w niesamowitym tempie. Kiedy wstałem z łóżka, ujrzałem, jak z mojego biurka wysuwa się kartka papieru, zupełnie jakby nagle ożyła. Sama też wsunęła się na wałek maszyny. Zanim dotarłem do biurka i usiadłem przed maszyną, niewidzialne palce już zaczęły pisać dalszy ciąg historii, który za chwilę wam przekażę.

Tangor powrócił!

1

Ten dramatyczny alarm wzywał nas do obrony Uni-su. Kaparzy wysłali przeciw nam ponad dziesięć tysięcy samolotów, my natomiast wylecieliśmy z dwudziestoma tysiącami, aby spotkać się z wrogiem nad Zatoką Hagar. Może tysiąc nieprzyjacielskich maszyn przedarło się przez naszą linię i zrzuciło bomby na Orvis. Resztę przegoniliśmy aż nad Ocean Karagan, gdzie większość wrogich samolotów zatopiliśmy. Nielicznym tylko udało się ująć cało. Ścigaliśmy ich aż do Ergos. Tu, lecąc nisko nad miastem, zrzucaliśmy bomby na samoloty usiłujące ukryć się w podziemnych lotniskach. W tej wyprawie straciliśmy około dziesięciu tysięcy samolotów i pięćdziesięciu tysięcy ludzi, lecz praktycznie lotnictwo kaparskie przestało istnieć. Jednocześnie udało nam się ocalić Unis przed straszliwym bombardowaniem. W drodze powrotnej spotkaliśmy jeszcze kilku Kaparów powracających do domu. Tych również zlikwidowaliśmy.

Po raz kolejny wszyscy trzej moi strzelcy zginęli, podczas gdy ja znowu ocalałem. Może tak teraz miało wyglądać moje życie. Prawdopodobnie kto raz umrze, nie może tego zrobić ponownie.

Właściwie prawie w ogóle nie widziałem się z Harkas Yamodą podczas gdy wracała do zdrowia, ponieważ lekarze zalecali jej całkowity spokój.

Ale lotnik po pracy musi się przecież zrelaksować, musi

spotykać się z dziewczynami. Podczas pełnienia swych obowiązków ma kontakt prawie wyłącznie z mężczyznami, z których niemal połowa strzela do niego z karabinów lub dział pokładowych. Ten zawód bardzo wyczerpuje nerwowo i po powrocie na ziemię większość z nas czuje się ogromnie rozbita. To dziwne, ale gdy znajdziemy się w powietrzu, spokój i opanowanie natychmiast powracają. Oczywiście, w czasie walki, tam w górze, nie ma czasu na takie rozważania.

W biurze Komisarza Wojny pracowała dziewczyna, którą często widywałem i z którą rozmawiałem przy różnych okazjach. Zawsze była dla mnie nadzwyczaj miła i wyglądała na osobę inteligentną i dowcipną. W końcu zaprosiłem ją na kolację. Spędziliśmy miły wieczór i od tej pory spotykaliśmy się, gdy tylko miałem wolny dzień. Lubiła słuchać, gdy jej opowiadałem o moim świecie, tak bardzo odległym.

Pewnego razu, gdy już byliśmy ze sobą zaprzyjaźnieni, Morga Sagra (tak nazywała się dziewczyna) powiedziała, że nie może zrozumieć, dlaczego jestem taki lojalny wobec Unisu, skoro właściwie nic mnie z nim nie łączy.

— Przypuśćmy, że pojawiłbyś się w Kaparii, a nie w Unisie? — zapytała.

Wzruszyłem ramionami.

— Nie chcę o tym myśleć — odpowiedziałem. — Jestem pewien, że nigdy nie mógłbym walczyć dla Kaparów i być im wierny.

— A co ty o nich właściwie wiesz? — spytała. — Myślę, że tylko tyle, ile chcieli ci przekazać Unisi. A my jesteśmy uprzedzeni do Kaparów. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że nie są oni tacy źli, a ich struktura władzy jest o wiele trwalsza od naszej.

— Co masz na myśli? — zapytałem.

— Ich władza opiera się na prowadzeniu wojny — odpowiedziała Morga Sagra. — A wojna to naturalna potrze-

ba rasy ludzkiej. Wojna to ich sposób na życie. Oni nie pragną pokoju tak jak my.

— A tobie nie podoba się pokój? — zapytałem.

— Nie! — wykrzyknęła. — Znienawidziłabym go. Pomyśl o tych mężczyznach, którzy nie zaznaliby przyjemności, jaką daje walka. I ja musiałabym ich znosić. To obrzydliwe. Gdybym była mężczyzną, przyłączyłabym się do Kaparów, ponieważ oni i tak wygrają tę wojnę.

— To niebezpieczne, co mówisz, Morga Sagra — ostrzegąłem ją.

— Nie boję się ciebie — stwierdziła. — Nie jesteś Uni-saninem. Masz takie same zobowiązania wobec Unisan jak i Kaparów. Słuchaj, Tangor, nie bądź głupi. Jesteś tutaj obcy, masz niezłe osiągnięcia jako lotnik, ale co ci to da? Nic. Zawsze będziesz tu obcym, który nie może niczego więcej dokonać, jak tylko walczyć dla Unisu i prawdopodobnie zginąć w którejś z kolejnych bitew.

— No cóż. Co byś chciała, żebyśmy zrobili? Przeszłał walczyć?

— Oczywiście, nie — odpowiedziała, pochylając się ku mnie i ciągnęła dalej szeptem. — Chcę, żebyś poleciał do Kaparii i wziął mnie ze sobą. Możemy tam wysoko zajść dzięki tajemnicom wojskowym Unisu, które ze sobą zabierzemy.

Byłem po prostu wstrząśnięty tym, co usłyszałem, lecz nie dałem tego poznać po sobie. Ta głupia mała była zdray-czynią i gdyby zobaczyła, że jestem wzburzony, pomyślałaby, że doniosę o tym odpowiednim władzom. Jeżeli mogła zdradzić Unis jedynie z powodu idiotycznego podziwu dla Kaparów, to nie zawaha się dla ratowania swojej skóry zdradzić i mnie, gdy zacznę się mnie obawiać. Miała rację, jestem tu obcy. Każde jej kłamstwo może być wzięte za prawdę.

— Zaskoczyłaś mnie, Morga Sagra — powiedziałem.

— Nigdy o tym nie myślałem. Nie wierzę jednak, aby

to było możliwe. Kaparzy nigdy by tego nie zaakceptowali.

Widocznie doszła do wniosku, że mnie przekonała, ponieważ dodała jeszcze, że jest w kontakcie z sympatykami Kaparów w Orvis, a poza tym dobrze zna dwóch kaparskich agentów.

— Rozmawiałam z nimi na ten temat — powiedziała. — I obiecali mi, że oboje będziemy traktowani bardzo dobrze, jeżeli tylko dostaniemy się do Ergos. To stolica Kaparii — dodała.

— Tak, wiem — odpowiedziałem. — Byłem tam.

— Byłeś! — wykrzyknęła.

— Tak, aby ich zbombardować. Zabawne by było zamienić teraz wrogów na przyjaciół, a z dotychczasowymi przyjaciółmi znaleźć się po przeciwnych stronach barykady i na nich zrzucić z kolei bomby.

— A więc polecisz? — zapytała.

— Daj mi trochę czasu do namysłu, Morga Sagra — odpowiedziałem. — Takiej decyzji nie podejmuje się bezmyślnie.

Na razie poprzestaliśmy na tym. Następnego dnia poszedłem do Komisarza Wojny i wszystko mu opowiedziałem. Nie miałem z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Morga Sagra planowała zdradę i chciała mnie do niej wciągnąć. Dopóki będę na Polodzie, Unis jest moją drugą ojczyzną i jemu muszę być wierny. Nosilem mundur Sił Powietrznych Unisu, tu byli moi przyjaciele, którzy mi ufali. Jak mógłbym ich zdradzić?

Komisarz, zrzedliwy stary człowiek, wpadł w prawdziwą furję na wiadomość, że w jego departamencie pracuje kaparski szpieg.

— Jutro zostanie rozstrzelana — wybuchnął, lecz po chwili uspokoił się, najwyraźniej pod wpływem jakiejś nowej koncepcji. — Wydaje mi się, że można by ją wykozystać dla naszych celów — powiedział. — Chodź ze mną.

Zabrał mnie do biura Eljanhai i tam ponownie opowiedziałem całą historię.

— To straszne — powiedział Eljanhai. — Dobrze znałem jej ojca. Był wspaniałym oficerem. Zginął w walce, gdy ona była jeszcze małą dziewczynką. Nie wyobrażam sobie, jak będę mógł skazać jego córkę na śmierć. Ale to chyba jedyne wyjście.

— Mam pewien pomysł — odezwał się Komisarz Wojny. — Proponuję, by Tangor podjął się pewnego zadania, oczywiście przy naszej akceptacji. Jak pan wie, Ka-parzy pracują nad urządzeniem, dzięki któremu będą mogli pokonywać ogromne odległości, może nawet będą latać na inne planety. Słyszałem, że jest pan bardzo zainteresowany planami tego urządzenia. — W tym momencie odwrócił się do mnie. — To byłaby bardzo niebezpieczna misja, Tangor, taka, z której możesz nie wrócić. Co ty na to?

— Służę Unisowi — powiedziałem. — Zrobię wszystko, co w mej mocy, aby wykonać zadanie.

— Doskonale — odezwał się Eljanhai. — Ale czy zdajesz sobie sprawę, że szansa na powodzenie tej akcji jest jak jeden do tysiąca i że możesz już nie wrócić do Unisu?

— Tak jest — powiedziałem. — Ale zdążyłem się już przyzwyczaić. Z takim ryzykiem mam do czynienia na co dzień.

— A więc załatwione — powiedział Eljanhai. — Zawiadam, kiedy będziesz chciał wyruszyć, abyśmy wszystko, co trzeba, przygotowali na czas. Jeszcze jedno: jak już będziesz w Kaparii, zbierz informacje, co się stało z jednym z naszych najcenniejszych agentów, od którego już od dwóch lat nie mamy żadnych wiadomości. To nasz oficer. Jego nazwisko: Handon Gar. — Tu podał mi wszystkie niezbędne informacje dotyczące agenta, łącznie z dokładnym jego opisem. Nie mogłem przecież pytać o niego na miejscu, a poza tym na pewno zmienił w Kaparii nazwisko.

Otrzymałem z departamentu wojskowego informacje, które miałem przekazać Kaparom, aby wzbudzić ich zaufanie i w efekcie dotrzeć jak najszybciej do ich nowego wynalazku. Zastanawiałem się, dlaczego moim zwierzchnikom tak bardzo na tym zależy. Odważyłem się w końcu o to zapytać.

— Szczerze mówiąc — wyjaśnił Eljanhai — Unis ma już dosyć wojny i w związku z tym chcemy wysłać ekspedycję na jedną z najbliższych położonych planet: na Tonos lub Antos, aby zbadać, jakie tam panują warunki. Może są lepsze niż na Polodzie i da się wszystkich Unisan przenieść na jedną z tych planet.

Co za niesamowity i zdumiewający pomysł! Tego nawet nie można było sobie wyobrazić, a tym bardziej zrealizować.

— Kiedy już zdobędziesz ich tajemne plany, musisz koniecznie zniszczyć wszystkie kopie, których ze sobą nie zabierzesz, i zlikwidować tych, którzy mogliby je odtworzyć. I oczywiście dokładnie zatrzeć za sobą ślady. Obecnie dążymy do znalezienia za wszelką cenę świata wolnego od wojny, a nie będzie to możliwe, jeśli dotrą tam również Kaparzy.

Tego wieczoru widziałem się ponownie z Morga Sagra.

— A więc — zapytała — podjąłeś już decyzję?

— Tak — powiedziałem. — doszedłem do wniosku, że miałaś jednak rację. Niczego Unisanom nie zawdzięczam, a jeżeli Kaparzy mają wygrać tę wojnę, wolę być po stronie zwycięzców.

— Masz rację — powiedziała. — Nie będziesz żałował swojej decyzji. Poczyniłam już pewne przygotowania, abyśmy po przybyciu do Kaparii nie mieli żadnych kłopotów. Jednak tobie pozostawiam problem wydostania się stąd.

— Zajmę się wszystkim — odpowiedziałem. — A tymczasem lepiej, aby nie widywano nas zbyt często razem.

Bądź gotowa do odlotu w każdej chwili. Mogę się odezwać do ciebie już nawet jutro.

Rozstaliśmy się, a ja udałem się do Harkasów, aby się z nimi pożegnać. Yamoda czuła się znacznie lepiej i można ją było przenieść do ogrodu, gdzie wypoczywała w sztucznym słońcu, które oświetla to podziemne miasto. Wyglądała na tak bardzo szczęśliwą, kiedy mnie ujrzała, że nie miałem sumienia powiedzieć prawdy o moim wyjeździe, a szczególnie o nieokreślonym terminie powrotu do Orvis. Kiedy wspomniałem, że przyszedłem się pożegnać, widziałem, jak zadrżały jej wargi. Zdawała się rozumieć, iż tym razem to coś więcej niż zwykle rozstanie, do którego tak przyzwyczajone są przecież wszystkie kobiety Unisu.

— Jak długo cię nie będzie? — zapytała.

— Nie wiem — odpowiedziałem.

— Domyślam się, że nie możesz mi również wyjawić, dokąd jedziesz — powiedziała.

— Nie, nie mogę — odparłem. — Wszystko, o czym wolno mi powiedzieć, to tylko to, że powierzono mi wykonanie misji specjalnej.

Pokiwała głową i położyła dłoń na mojej ręce.

— Obiecuj mi, że będziesz uważał na siebie.

— To mogę ci obiecać. Postaram się również wrócić tak szybko, jak to tylko możliwe. Będę bardzo za tobą tęsknił.

— Ostatnio jakoś nie było tego widać po tobie — powiedziała, a w jej oczach pojawił się złośliwy błysk. — Czy ona jest aż tak dobrym kompanem?

— Lepsza niż w ogóle nikt — odrzekłem. — Poza tym czuję się straszliwie samotnie, gdy nie mogę być razem z wami.

— Nie sądzę, abym ją знаła — odezwała się Yamoda. — Z pewnością nie mamy wspólnych znajomych.

Wydawało mi się, że dostrzegłem w wypowiedzi

Yamody nutkę pogardy, co było dla niej ogromnie nietypowe.

— Nigdy nie spotkałem żadnego z jej przyjaciół — powiedziałem.

W tym momencie do ogrodu weszła matka Yamody i zaczęliśmy rozmowę na inne tematy. Nalegały, abym pozostał na kolacji.

Kiedy wychodziłem późnym wieczorem, było mi bardzo ciężko pożegnać się z nimi. Rodzina Harkasów to moi najlepsi przyjaciele w Unisie, Don i Yamoda są dla mnie jak brat i siostra, a ich matka nazywa mnie swoim jeszcze jednym synem.

2

Na drugi dzień wczesnym rankiem zawiadomiłem Komisarza Wojny, że zamierzam wyruszyć tego właśnie dnia. Wyjaśniłem mu szczegółowo, w jaki sposób mam zamiar wywieźć Morga Sagrę z Orvis.

Zapewnił mnie, że wszystko będzie przygotowane zgodnie z moim planem. Następnie wręczył mi plik wojskowych dokumentów, które miałem przekazać Kaparom jako dowód moich dobrych intencji.

— Musisz mieć środki na pokrycie wydatków — powiedział i wręczył mi ciężki skórzany woreczek. — Ponieważ już nie istnieje żaden międzynarodowy pieniądz — ciągnął — będziesz musiał zadowolić się zawartością tego woreczka, czyli złotem i drogocennymi kamieniami. Natychmiast poinformuję dowódcę twojej eskadry, że wyznaczono ci zadanie wykonania samotnego lotu zwiadowczego, i że misja jest tajna. Ma dopilnować, aby między trzecią a czwartą po południu nikt nie kręcił się po hangarze, ponieważ odlot twój musi pozostać w tajemnicy. W tym czasie możesz przemyścić dziewczynę. No, a teraz do widzenia, mój chłopcze, i powodzenia. Prawdopodobnie już cię nie zobaczę. Zostaniesz jednak w mojej pamięci jako ten, który zginął na polu chwały za honor i dla sławy Unisu.

Brzmiało to zupełnie jak mowa żałobna. Gdy odchodziłem, pomyślałem o małym, białym krzyżu gdzieś w dolnie Rhine. Jednak, jeżeli to co słyszałem o Kaparach jest

prawdą, to nie będzie żadnego krzyża, ponieważ moje ciało zostanie z pewnością wyekspediowane jako pokarm dla któregoś z podbitych narodów.

O trzeciej po południu wpadłem do Sagry.

— Wszystko już załatwione — powiadomiłem ją. —

W ciągu godziny będziemy w drodze.

Nawet nie uśmiechnęła się, tak jak to miała w zwyczaju, kiedy się spotykaliśmy. Widziałem, że jest jakaś nieswoja. W końcu powód jej zachowania stał się jasny, kiedy wybuchnęła:

— Cóż to za konferencję miałeś dzisiaj rano u Komisarza Wojny?

— A w jaki inny sposób, według ciebie, mógłbym wy dostać się z Orvis? — zapytałem. — Długo musiałem go przekonywać, aby zezwolił mi na samodzielny lot zwiadowczy.

— Przepraszam — odezwała się Morga Sagra — ale to niebezpieczna sprawa. Kiedy czyjeś życie jest ustawicznie zagrożone, to podejrzliwość staje się niemal obsesją.

— Mogę to zrozumieć — powiedziałem. — Lecz jeżeli nasza misja ma zakończyć się sukcesem, musimy sobie całkowicie zaufać.

— Nie będę w ciebie więcej wątpić — zapewniła. — Niestety, stan moich nerwów nie jest najlepszy. Jestem przerażona, ponieważ nie wiem, w jaki sposób mógłbyś mnie wywieźć z miasta. Jeżeli cię przy tym złapią, obydwójce zostaniemy rozstrzelani.

— Zostaw to mnie — powiedziałem. — Rób tylko to, co ci powiem.

Następnie poszliśmy do mojego samochodu. Morga Sagra zajęła miejsce z tyłu. Rozejrzałem się dookoła. Kiedy byłem pewny, że nikt nas nie obserwuje, poleciłem jej położyć się na podłodze, po czym nakryłem ją starą derką. Pojechałem prosto do hangaru, w którym, tak jak się spodziewałem, nikogo nie było. Podjechałem jak najbliżej me-

go samolotu i kazałem dziewczynie przekraść się do pomieszczenia strzelca, znajdującego się wewnątrz kadłuba. W chwilę później włączyłem silniki i wystartowałem.

— W którą stronę? — zapytałem Sagrę przez system łączności.

— Na północny zachód — odpowiedziała. — Kiedy będę mogła stąd wyjść? Nie jest mi tu zbyt wygodnie.

— Za chwilę — odpowiedziałem.

Wspólnie uzgodniliśmy, że Sagra zajmie się planami dotyczącymi naszego lotu i przybycia do Kaparii. Moim zadaniem natomiast było zdobycie tajnych wojskowych planów Unisu i wydostanie nas z Orvis.

Mały luk w suficie pomieszczenia, w którym znajdowała się Sagra, prowadził do tylnej części kokpitu strzelca pokładowego. Kiedy zawołałem Sagrę, musiała precyzyjnie się przez ten luk i przejść do kokpitu przedniego, aby dostać się do mnie.

— No, a teraz — odezwałem się — powiedz mi, dlaczego lecimy na północny zachód, skoro Kaparia leży na południowy zachód od Unisu.

— Wiem, że to znacznie dłuższa droga — powiedziała — ale jednocześnie droga jedyna. Tym samolotem i w tym mundurze, jaki masz na sobie, nie zalecielibyśmy daleko. Tak więc najpierw udamy się do Gorvas.

Gorvas to miasto na kontynencie Karis, najbardziej oddalonym od kontynentu Epris, gdzie znajduje się Kaparia. Jest to biedny kontynent o zupełnie jałowej ziemi, jednocześnie najmniej przez wojnę zniszczony, ponieważ nie zawiązała się, co mogłoby zainteresować Kaparów.

Po niczym nie zakłóconym locie wylądowaliśmy wreszcie w Gorvas. Żaden samolot nie wystartował, aby spotkać się z nami w powietrzu, nie zostaliśmy również ostrzelani przez działa przeciwlotnicze przy podchodzeniu do lądowania. A było to zapewne spowodowane przekonaniem mieszkańców Karis, że ze strony Unisu nie muszą się niczego obawiać.

Na lotnisku zostaliśmy uprzejmie powitani przez kilku oficerów.

Morga Sagra uzyskała dla nas fałszywe listy uwierzytelniające i oznajmiła, że od tej pory nazywam się Korvan Don, natomiast ona zachowa swoje nazwisko, ponieważ jest doskonale znane jej łącznikom w Ergos, stolicy Kaparii. Po opuszczeniu lotniska Sagra powiedziała wynajętemu kierowcy, aby zawiózł nas pod adres, który otrzymała od kaparskiego agenta w Orvis.

Gorvas nie jest miastem podziemnym, chociaż, jak zostałem poinformowany, każdy jego budynek posiada schron przeciwlotniczy. Gdziekolwiek widać było leje po bombach, co świadczyło o tym, że i tu, do tego ubogiego kraju, trafili Kaparzy. Być może niszczyli go z zemsty za przyjaźń jego mieszkańców z Unisem lub po prostu powodowani samą żądzą niszczenia.

Nasz kierowca zawiózł nas na peryferie miasta i zatrzymał się przed skromnym piętrowym budynkiem. Tam go odprawiliśmy i staliśmy aż do chwili, gdy zniknął. Wtedy Sagra poprowadziła mnie wzdłuż ulicy do trzeciego z kolei budynku, po czym przeszła na drugą stronę, kierując się do domu znajdującego się dokładnie naprzeciwko. Wszystko to wyglądało niezwykle tajemniczo, lecz jednocześnie świadczyło o dobrej organizacji całego przedsięwzięcia, mającej na celu, jak sądzę, zatarcie jakichkolwiek śladów.

Zbliżyliśmy się do drzwi domu, który był, jak na mój gust, trochę zbyt pretensjonalny. Sagra zapukała trzy razy w krótkich odstępach czasu, a następnie dwukrotnie, z przerwami. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich człowiek o groźnym, ostrym spojrzeniu.

— Czego chcecie? — zapytał gderliwie.

— Nazywam się Morga Sagra — odpowiedziała moja współtowarzyszka. — A to jest Korvan Don.

— Wejdźcie — powiedział mężczyzna. — Oczekiwałem was. Pokażcie listy uwierzytelniające.

Sagra podała mu czystą kartkę papieru, o czym mogłem się przekonać, ponieważ stałem tuż za nim.

— Usiądźcie — powiedział i podszedł do biurka, z którego szuflady wyjął coś, co wyglądało na kieszonkową la tarke, po czym skierował snop jej światła na trzymany w ręku papier.

Światło musiało spowodować, że pismo stało się widoczne, ponieważ zaobserwowałem, jak mężczyzna wyraźnie przesuwając wzrok po kartce papieru. W końcu wstał i oddał Sagra dokument.

— Pozostaniecie tutaj, a tymczasem ja załatwię formalności — oświadczył i wyszedł.

— Czy wiesz, jak on się nazywa? — zapytałem Sagra.

— Tak — powiedziała.

— Dlaczego wobec tego mi go nie przedstawiłaś?

— To, jak się nazywa, nie powinno cię w ogóle obchodzić — powiedziała Sagra. — Musisz nauczyć się nie zadawać pytań, Korvan Don. Jednak zaspokoje twoją ciekawość. Nazywa się Gompth.

— Bardzo piękne nazwisko — powiedziałem — lecz z tego, co wiem, nie powinnaś mi była tego wyjawiać. Prawdę powiedziawszy, ten człowiek w ogóle mnie nie interesuje.

— Nie mów tak — oschle odezwała się Sagra. — On jest bardzo ważną osobistością i nie należy wyrażać się o nim z takim lekceważeniem. A teraz nie zapomnij, że nie wolno ci się zdradzić, iż znasz jego nazwisko, ponieważ występuje tu pod zupełnie innym.

Ta cała rozmowa zaczęła mi się zdecydowanie nie podobać, jak wszystko zresztą, co było w jakikolwiek sposób związane z Kaparami. Zapewniłem, że naprawdę jest mi obojętne, czy znam nazwisko tego człowieka, czy też nie.

Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że pewnego dnia będę bardzo rad, iż jednak je znam.

Mniej więcej po godzinie Gompth wrócił. Przyniósł ze sobą cywilne ubrania, takie, jakie noszą mieszkańcy Karis. Gdy się przebraliśmy, zawiózł nas poza granice miasta i przekazał do naszej dyspozycji karisariski samolot. Gdy się w nim znaleźliśmy, wręczył nam instrukcje oraz listy uwierzytelniające. Kazał nam lecieć do miasta Pud na kontynencie Auris i zgłosić się do człowieka o imieniu Frink.

— A co się stanie z moim samolotem? — zwróciłem się do niego.

— A jakie to może mieć dla ciebie znaczenie? — nutka nieufności zabrzmiała w jego głosie.

— Ogromne — odrzekłem oschle, ponieważ dosyć już miałem grubiańskiego traktowania i tej całej atmosfery tajemniczości. — Spodziewam się, iż prawdopodobnie zostanę wysłany do Unisu z misją specjalną, a jeżeli to nastąpi, mój mundur i samolot będą mi bezwzględnie potrzebne.

Przyjrzał mi się podejrzliwie, zanim zapytał:

— W jaki sposób mógłbyś kiedykolwiek wrócić do Unisu bez ryzyka, że zostaniesz zlikwidowany jako zdrajca?

— O tym pomyślałem jeszcze przed opuszczeniem Or-visu — odpowiedziałem. — Wszystko tak zorganizowałem, aby wysłano mnie na lot zwiadowczy. W każdej chwili mogę wymyśleć setki powodów na usprawiedliwienie mojej długiej nieobecności.

— Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebował swego samolotu lub munduru — odpowiedział Gompth — będą tu do twojej dyspozycji.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy wreszcie Gompth nas opuścił i samolot wzbił się w powietrze. Nasz opiekun odznaczał się wyjątkowo ponurą osobowością. W czasie każdego spotkania z nim miało się wrażenie, że w najmniej oczekiwanym momencie gotów jest rzucić się na rozmówcę jak

wściekły pies. W czasie całego naszego pobytu w Gorvas nigdy nie widziałem, żeby się uśmiechał. Zastanawiałem się, czy wszyscy Kaparzy są właśnie tacy.

W Pud odnaleźliśmy Frinka w identyczny sposób jak uprzednio Gomptha. Zostaliśmy w mieście na noc. Nad ranem Frink dał nam ubrania Kaparów, a następnie przekazał kaparski samolot, w bardzo dobrym stanie. Byłem mu za to ogromnie wdzięczny. Lot nad Oceanem Voldan z Karis do Auris starym wrakiem, w który zaopatrzył nas Gompth, zdecydowanie nie należał do przyjemności, a do pokonania mieliśmy jeszcze jakieś trzy tysiące pięćset kilometrów z Auris do Kaparii przez Ocean Mandan.

Lot nad oceanem był raczej monotony i odbył się bez przygód, lecz gdy kierując się w stronę Ergos znaleźliśmy się nad Kaparią, zauważyliśmy eskadrę unisańskich samolotów, które bez wątpienia odbywały lot zwiadowczy. Zmieniłem kierunek próbując zejść im z drogi, lecz Unisanie natychmiast ruszyli za nami.

Lecieliśmy bardzo szybkim, lekko uzbrojonym samolotem zwiadowczym. Był on wyposażony w dwa działka pokładowe: jedno z przodu, i tym mogłem operować, oraz jedno z tyłu, niestety pozbawione obsługi, ponieważ Morga Sagra w żadnym wypadku nie dałaby sobie z nim rady. Bez względu na okoliczności nie miałem zamiaru strzelać do Unisan, wobec tego zmieniłem kierunek i zacząłem uciekać. Ścigali mnie nad Oceanem Mandan przez jakieś tysiąc sześćset kilometrów, wreszcie dali za wygraną i zawrócili. Poleciałem za nimi, trzymając ich w zasięgu wzroku aż do chwili, gdy upewniłem się, że mają zamiar przelecieć nad południowym krańcem kontynentu Epris. Wtedy zwiększyłem prędkość do maksimum i jak błyskawica pomknąłem w kierunku Ergos.

Kiedy przedostaliśmy się przez podziemny kanał prowadzący do miasta, natychmiast otoczyli nas mężczyźni w zielonych mundurach i jeden z oficerów zażądał okaza-

nia dokumentów. Powiedziałem mu, że zgodnie z otrzymaną instrukcją mam je przekazać bezpośrednio Gurrulowi. Wobec tego zostaliśmy wpakowani do samochodu i w towarzystwie ubranych na zielono członków Zabo — tajnej policji Kaparii — odjechaliśmy z lotniska.

Ergos to duże miasto, zajmujące pod ziemią ogromną przestrzeń. Najpierw przejechaliśmy przez dzielnicę potwornej nędzy. Jej zabudowania to głównie liche szopy lub po prostu dziury w ziemi, w których mieszkańcy natychmiast się chowali, gdy tylko zobaczyli zielone mundury Zabo.

Nieoczekiwanie wjechaliśmy do dzielnicy, której budynki sprawiały już o wiele solidniejsze wrażenie. Jednak przede wszystkim rzucał się w oczy ich identyczny wygląd. Domy różniły się jedynie wielkością i nie posiadały żadnych ozdób.

Jazda była strasznie monotonna. Przemierzaliśmy kilometr po kilometrze, aby w końcu znaleźć się w centrum miasta, gdzie zupełnie niespodziewanie na budynkach pojawiły się bogate, jakby rokokowe ozdoby.

Samochód zatrzymał się przed jednym z najszybszych budynków, pokrytych wieloma kolorami ohydy, którego cała fasada dosłownie upstrzona była niezliczonymi rzeźbami i ornamentami. Wypchnięto nas z samochodu, kierując do tego właśnie budynku. W chwilę później zostaliśmy wprowadzeni do szefa Zabo, Gurrula, człowieka wzbudzającego śmiertelne przerażenie u każdego bez wyjątku mieszkańca Kaparii.

3

Gurrul był potężnym mężczyzną o okrutnym wyrazie ust i blisko osadzonych oczach. Badawczo przyglądał się nam przez prawie minutę, tak jakby chciał odczytać nasze najskrytsze myśli. W rzeczywistości rejestrował w pamięci najmniejszy szczegół naszego wyglądu, aby w każdych okolicznościach móc nas rozpoznać. Jedynie wyjątkowo wyrafinowane sztuczki mogłyby go wyprowadzić w pole. Mówi się o nim, że ma w ten sposób zakodowanych w pamięci około miliona osób, ale to wydaje mi się lekko przesadzone.

Wziął od nas listy uwierzytelniające i uważnie im się przyjrzał. Następnie zapytał, jakie tajne informacje przywieźliśmy z Orvis. Gdy mu podałem dokumenty, przerzucił je pośpiesznie, nie ujawniając jednak większego zainteresowania.

— Służyłeś w siłach powietrznych wroga? — zwrócił się do mnie z pytaniem.

— Tak — odpowiedziałem.

— Dlaczego? — zapytał.

— Ponieważ poza Unisem nie znałem żadnego innego kraju — wyjaśniłem.

— Dlaczego zwróciłeś się przeciwko swojej ojczyźnie? — zapytał.

— Unis nie jest moją ojczyzną.

— Gdzie się więc urodziłeś?

— Na innej planecie, w innym systemie słonecznym, oddalonym stąd o miliony kilometrów.

Popatrzył na mnie spođe łba i nagle wałną ręką w biurko z taką siłą, że wszystko zaczęło na nim tańczyć.

— Ośmielasz się stać tu przede mną i łgać w żywe oczy, ty głupcze?! — wrzasnął. — Ty plugawy Unisanie! Kpisz ze mnie. Chyba nigdy nie słyszałeś o Gurrulu, ty idioto! Bo gdybyś słyszał, to prędzej połknąłbyś swój język, niż wykrztusił tę beznadziejną bzdurę.

— Wasza Wysokość — wtrąciła nieśmiało Morga Sa-gra. — Wierzę, że on mówi prawdę. Wszyscy w Orvis mu wierzyli.

Gurrul odwrócił się z wściekłością w jej stronę.

— Kto pozwolił ci mówić? — warknął.

— Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość — powiedział. Trzęsła się ze zdenerwowania i obawiałem się, że za chwilę zemdleje.

Gurrul zwrócił się do jednego z oficerów.

— Przeszukajcie ich i zamknijcie — rozkazał.

Tak wyglądało nasze spotkanie z Kaparią, gdzie przedstawiciele władz mieli nas podobno przywitać z otwartymi ramionami i oddać należyte honory. Odebrano mi kosztowności i razem z Morga Sagra zostałem zamknięty w piwnicy, w podziemiach dowództwa Zabo. Naszą celą była po prostu żelazna klatka, przez którą widać było cały system korytarzy, a w nich takie same jak nasza klatki pełne ludzi. Czasami znajdowało się w nich sześciu lub nawet ośmiu więźniów, mimo że klatka mogła z ledwością pomieścić jedynie dwóch. Większość więźniów zrezygnowana siedziała na kamiennej podłodze. Niektórzy coś mamrotali lub wrzeszczeli. Tortury i długotrwałe więzienie wypisały oznaki szaleństwa na ich twarzach. Kiedy odgłosy dochodzące z klatek zbyt denerwowały strażnika, ten podchodził do wrzeszczących i polewał ich silnym strumieniem wody. Od pierwszej chwili, kiedy się tu znaleźliśmy, jakieś biedne

stworzenie wyło nieustannie. Kilku strażników na zmianę polewało nieszczęśnika wodą, ale to zupełnie nie skutkowało. W końcu przyszedł główny nadzorca więzienia, oficer, cały pokryty złotymi galonami, medalami i mosiężnymi guzikami. Podeszedł do klatki, w której znajdował się szaleniec, i strzelił do niego z bliskiej odległości, zabijając na miejscu. Zaraz po tym odwrócił się i odszedł, nawet nie oglądając się za siebie.

— Chyba jesteś nareszcie szczęśliwa — powiedziałem do Morga Sagry.

— Co masz na myśli? — wyszeptała.

— W końcu jesteś w swojej ukochanej Kaparii, otoczona przez swoich najdroższych przyjaciół.

— Uważaj — ostrzegła. — Ktoś może nas usłyszeć.

— A niby dlaczego mam uważać? Czyżbyś nie chciała, aby się dowiedzieli, jak bardzo jesteś w nich zakochana?

— Oczywiście, że jestem w nich zakochana — odrzekła. — Wszystko, co się stało, jest tylko potworną pomyłką. Ale to twoja wina. Jak mogłeś opowiedzieć tę historyjkę Gurrulowi?

— Chyba nie chciałabyś, abym okłamał Jego Wysokość, nieprawdaż?

— Nie wolno ci mówić takim tonem o kimkolwiek stąd — wyszeptała. — Powiesz coś głupiego i oboje nas zgubisz.

Byliśmy trzymani w tym okropnym miejscu przez cały tydzień i codziennie o świcie oczekiwaliśmy, że nas wyprowadzą i rozstrzelają. Kiedy w końcu rzeczywiście po nas przyszli, Morga Sagra znajdowała się u kresu wytrzymałości nerwowej. Była tak sparaliżowana strachem, że w korytarzu, którym nas prowadzono, strażnicy musieli ją podtrzymywać, aby nie upadła. W końcu któryś z nich powiedział do Sagry:

— Nie masz się czego obawiać. Będziesz zwolniona.

W tym momencie nogi zupełnie odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się wprost na podłogę. Strażnicy, wyraź-

nie rozbawieni tą sceną, usiłowali ją podnieść, ale dziewczyna była tak słaba, że już do końca musieli ją nieść. Ja zostałem popchnięty w dół innym korytarzem, po czym wyprowadzono mnie z budynku przez tylne drzwi i umieszczono w czymś, co wyglądało jak duża zielona ciężarówka. Była wypełniona po brzegi ludźmi, tak że zostałem do niej wepchnięty na siłę i wtedy szybko zamknięto drzwi, bym nie zdążył wypaść. Na przodzie samochodu znajdowało się okratowane okno, przy którym siedział uzbrojony strażnik.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, ciężarówka ruszyła. Rzucano nami to w jedną, to w drugą stronę. Ludzie wpadali na siebie i kleli pod nosem. Tę jazdę, z powodu nieludzkich warunków, będę długo pamiętał. Zaduch bijący ze stłoczonych ciał stawał się wprost nie do zniesienia, a gęste od gorąca i potu powietrze utrudniało oddychanie.

Samochód jechał z maksymalną prędkością. Jak długo trwała ta podróż, nie mam pojęcia. Sądzę, że jakieś dwie godziny, chociaż dla nas była to cała wieczność. W końcu jednak samochód się zatrzymał. Drzwi otworzono i kazano nam wyjść.

Ujrzałem przed sobą olbrzymi teren ogrodzony drutem kolczastym. Z dwóch stron znajdowały się otwarte baraki. Za ogrodzeniem przebywało kilkuset ludzi. Wszyscy byli identycznie ubrani w czarne stroje z dużymi, białymi cyframi z przodu i z tyłu. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że znajduję się w obozie karnym.

Przy bramie prowadzącej do obozu mieściło się więzienne biuro, dokąd zabrano nas po wyjściu z ciężarówki. Tu wpisano nasze nazwiska do specjalnego rejestru, następnie otrzymaliśmy ubrania oraz numery więzienne. Po załatwieniu tych formalności mogliśmy przejść na teren obozu. Przebywający tu więźniowie wywarli na nas ogromnie przygnębiające wrażenie. Byli bardzo wychudzeni, a ich twarze wyrażały zupełny brak nadziei na zmianę losu.

Kiedy zabierano mnie z celi, myślałem, że zostanę zlikwidowany. Jednak to, co mnie czekało, wydawało się jeszcze gorsze.

Zapytałem oficera, który zajmował się ewidencją więźniów, dlaczego zostałem zatrzymany i jak długo to potrwa. Wtedy usłyszałem, że mam się natychmiast zamknąć i odzywać tylko wtedy, gdy mi na to pozwolą.

To był obóz pracy. Jednak nazwa nawet w połowie nie oddawała tego, czym to miejsce naprawdę było. Wykorzystywano nas do najcięższej pracy fizycznej przez szesnaście godzin na dobę. Tylko jeden dzień na dziesięć był dniem wolnym i właśnie w takim dniu tu się znalazłem. W obozie przebywali mężczyźni i kobiety przywiezieni prawie z każdego zakątka Polody. Traktowano nas niemal jak zwierzęta. Ubrania, które nam dano, służyły zarówno do pracy, jak i do spania, a miały wystarczyć na rok. Stan większości z nich bardziej przypominał łachmany niż rzeczy nadające się do noszenia. Jedzenia, które otrzymywaliśmy, nie da się z niczym porównać. Rzucano je nam do koryta zupełnie jak świniom. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety byli poniżani, bici, kopani, a często nawet mordowani. Nie wolno nam było używać własnych imion. Nawet zwracając się do siebie używaliśmy numerów obozowych.

Dzień i noc pilnowali nas strażnicy. Nie wolno nam było ze sobą rozmawiać. Za złamanie tego zakazu wymierzane były surowe kary. Mimo to jednak kontakty między więźniami nie ustawały. Szczególnie po zapadnięciu zmroku strażnicy nie byli w stanie nas upilnować.

Po pewnym czasie zawarłem bliższą znajomość z kilkoma więźniami. Z jednym z nich, można powiedzieć, nawet się zaprzyjaźniłem. Nazywał się Tunzo Bor.

Wiedziałem, że Kaporzy mieli w obozie całą armię szpiegów, lecz musiałem komuś zaufać. Mój wybór padł na Tunzo Bora. Zapytałem go, czy nie zna człowieka o nazwisku Handon Gar. Od razu stał się podejrzliwy.

— Niestety, nie — powiedział. — Nie znam nikogo o takim nazwisku. Dlaczego pytasz?

— Mam dla niego wiadomość — odpowiedziałem.

— Od kogo?

— Od przyjaciela z Orvis.

— No cóż, nie znam żadnego Handon Gara — powtórzył z uporem. — Ale nawet jeśli się tutaj znajduje, to z pewnością nie występuje pod swoim nazwiskiem.

— Myślę, że masz rację — powiedziałem. — Nie tracę jednak nadziei, że go odnajdę. Ta wiadomość jest dla niego bardzo ważna i muszę mu ją przekazać.

Byłem przekonany, że Tunzo Bor kłamie i że zna Handon Gara. Całkiem prawdopodobne było również, że poszukiwany przeze mnie człowiek znajduje się w tym obozie. Dalsze pytania nie miały jednak sensu, ponieważ pod ich wpływem Tunzo Bor stałby się jeszcze bardziej nieufny.

Pracowaliśmy bardzo ciężko, otrzymując w zamian głodowe racje. Nie mogłem zrozumieć postępowania Kaparów. Potrzebowali taniej siły roboczej, a jednocześnie traktowali więźniów w obozach w tak niehumanitarny sposób, że wskaźnik ich umieralności przekraczał wszelkie wyobrażenie.

Zauważyłem, że Kaparom bez przerwy brakuje żywności, a jednocześnie nie potrafią sensownie wykorzystać więźniów przetrzymywanych w obozach i zmuszanych do pracy ponad siły oraz systematycznie głodzonych. Nie byli oni w stanie wydajnie pracować i szybko umierali z wycieńczenia albo pod batami nadzorców. Gdyby tym nieszczęśnikom stworzyć nieco lepsze warunki, z pewnością dałoby się wykorzystać ich do produkcji tego, czego Kaparom brakowało, a więc również żywności.

Pracownicy pozostający na wolności mieli nieco lepsze życie. Wprawdzie musieli równie ciężko pracować w zamian za głodowe racje, lecz przynajmniej nie byli zamykani

w karnych obozach. Wielu z nich to rdzenni Kaparzy, pozostali to ludność podbitych krajów. Żołnierze zarabiali tu o wiele więcej niż robotnicy; członkowie Zabo nie mieli żadnych problemów, ponieważ wszyscy się ich bali; oficerowie i osoby zajmujące wyższe stanowiska państwowe mieli wszystkiego w bród, chociaż nie zaliczali się do bogaczy (jeżeli tacy w ogóle istnieją w Kaparii).

Po tygodniu ciężkich robót i wyjątkowo podłego żarcia przeniesiono mnie do ogrodu komendanta obozu, gdzie wykonywałem już znacznie lżejszą pracę. Za każdym razem towarzyszył mi uzbrojony strażnik, który przez cały czas nie spuszczał mnie z oka. Jednak muszę przyznać, że traktowano mnie tutaj lepiej niż w obozie. Czasami otrzymywałem nawet jedzenie z oficerskiej kuchni. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, lecz zadawanie jakichkolwiek pytań uznałem za zbyt ryzykowne. W końcu jeden ze strażników sam naprowadził mnie na rozwiązanie tej zagadki.

— Właściwie kim ty jesteś? — zapytał mnie pewnego dnia.

— Numer 267 M9 436 — odpowiedziałem.

— Nie — przerwał mi natychmiast. — Chodzi o twoje prawdziwe nazwisko.

— Sądziłem, że nie wolno nam posługiwać się tu żadanymi nazwiskami — wspomniałem.

— Jeżeli ja ci każę, to możesz — powiedział.

— No cóż, nazywam się Korvan Don — rzekłem.

— Skąd pochodzisz?

— Z Orvis. Potrząsnął głową.

— Nie mogę tego zrozumieć.

— Zrozumieć czego? — zapytałem.

— Z jakiego powodu otrzymaliśmy rozkazy, aby traktować cię o wiele lepiej niż pozostałych więźniów — wyjaśnił. — A rozkazy te przyszły prosto od Gurrula.

— Ja też tego nie rozumiem — odpowiedziałem, lecz jednocześnie miałem niejasne przeczucie, że stało się tak, ponieważ Gurrul, wciąż prowadzący śledztwo w mojej sprawie, doszedł w końcu do wniosku, że mogę się jeszcze Kaparom na coś przydać. Nie miałem oczywiście żadnych wątpliwości, że o mojej, nie najgorszej w końcu, sytuacji w obozie nie zdecydowały względy humanitarne.

4

Kiedy nie ma chmur, polodajskie noce są wyjątkowo piękne. Po niebie w bezustannym korowodzie przesuwają się planety, podążając jedna za drugą. To one, szczególnie te najbliższe, rozjaśniają noce na Polodzie swym niezwykłym światłem.

Właśnie w taką noc, jakieś trzy tygodnie po moim przybyciu do obozu, podszedł do mnie jeden z więźniów i wyszeptał:

— Jestem Handon Gar.

Przyjrzałem mu się uważnie, próbując go rozpoznać po opisie otrzymanym w Orvis od Komisarza Wojny. Człowiek ten był straszliwie wychudzony i wyglądał jak starzec, ale po chwili doszedłem do wniosku, że to musi być on. Dwa lata spędzone w tych nieludzkich warunkach zrobiły swoje.

— Tak — powiedziałem. — Rozpoznaję cię.

— W jaki sposób możesz mnie rozpoznać? — zapytał podejrzliwie. — Nigdy cię nie widziałem, ani ty nie widziałeś mnie. Kim jesteś i czego chcesz?

— Poznaję cię po opisie, który otrzymałem w Orvis od Komisarza Wojny — wyjaśniłem. — Wiem, że jesteś Handon Gar i że mogę ci zaufać. Nazywam się Tangor. Tutaj jestem znany jako Korvan Don. Przybyłem do Kaparii z misją specjalną od Eljanhai i Komisarza Wojny — ciągnąłem szeptem. — Otrzymałem zadanie sprawdzenia, co się z tobą dzieje.

Uśmiechnął się gorzko.

— A teraz jedziesz na tym samym wózku co ja. Obawiam się, że nikt nigdy się nie dowie, co stało się nie tylko ze mną, ale również z tobą.

— Czy Tunzo Bor to człowiek godny zaufania? — zapytałem.

— Tak, on jest w porządku, chociaż nie od razu ci uwierzył. Ja co prawda również, lecz teraz nie ma to już znaczenia, skoro znasz moje prawdziwe nazwisko. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek słyszał twoje. Gdzie mieszkałeś w Unisie i czym się zajmowałeś?

— Mieszkałem w Orvis i byłem pilotem w siłach powietrznych Unisu.

— Dziwne, że nigdy cię nie spotkałem — powiedział, a ja zauważyłem, że znowu stał się podejrzliwy.

— Nie ma w tym nic dziwnego. Ja znam zaledwie kilku z tysięcy pilotów w lotnictwie. Czy znasz Harkas Dona?

— Tak, bardzo dobrze — odpowiedział.

— Jest moim najlepszym przyjacielem — zauważyłem.

Milczał przez chwilę, po czym nagle zapytał:

— Co się dzieje z braćmi Dona?

— On już nie ma braci — odpowiedziałem. — Wszyscy zginęli na wojnie.

— A jego siostry? — zapytał.

— Ma tylko jedną — odparłem. — Yamodę. Widziałem się z nią na dzień przed odlotem. Miała wypadek, lecz już jest zdrowa.

— Myślę — odezwał się Handon Gar — że jeśli rzeczywiście znasz tych ludzi tak dobrze, to musisz mówić prawdę. Zrozum, ostrożność w naszym przypadku jest absolutnie konieczna.

— Rozumiem to doskonale — odpowiedziałem.

Przez chwilę znowu się nie odzywał, po czym pochylił się nade mną i wyszeptał:

— Za kilka dni uciekamy stąd: Tunzo Bor, ja oraz kil-

ku innych. Wszystko mamy zaplanowane. Chcesz się przyłączyć?

— Nie mogę — odpowiedziałem. — Nie zakończyłem jeszcze swojej misji.

— Nie zrobisz tego, jeśli tu zostaniesz. Nigdy stąd nie wyjdiesz. Uciekaj z nami. Jeżeli dotrzemy do Orvis, wyjaśnię Eljanhai, że sam namówiłem cię do ucieczki, gdy nadarzyła się ku temu okazja.

— Nie, dziękuję — odpowiedziałem. — Wydostanę się stąd sam.

— Jesteś pewny siebie — powiedział i spojrział na mnie w taki sposób, jakby żałował, że mi cokolwiek powiedział.

Chciałem go uspokoić, gdy strażnik rozkazał nam przerwać natychmiast rozmowę.

Kilka dni później był dzień wolny od pracy. Strażnik powiedział mi, bym podszedł do ogrodzenia. Spotkałem tam czekającą na mnie Morga Sagrę. Bardzo rzadko pozwalano więźniom na odwiedziny kogokolwiek i zawsze było to ogromną sensacją.

— Robię wszystko co w mojej mocy, aby cię uwolniono — odezwała się do mnie szeptem Sagra. — Ale Gurrul wciąż ci nie ufa. Gdybyś usłyszał tu coś ciekawego, cokolwiek mogącego zainteresować Zabo i doniósł o tym, udowodniłbyś, że jesteś w porządku. Wtedy łatwiej byłoby cię stąd wyciągnąć.

— Nic takiego nie słyszałem — rzekłem. — W obozie nie wolno rozmawiać, a poza tym wszyscy są tu bardzo podejrzliwi.

— No cóż, miej więc oczy i uszy otwarte, chociaż mam nadzieję, że wkrótce i tak cię stąd wydostanę. Wiesz, co najbardziej zastanowiło Gurrula? Twój wygląd. Nie jesteś podobny do mieszkańca żadnego kraju na Polodzie. Tak więc Gurrul dochodzi z wolna do przekonania, że opowiedziana przez ciebie historyjka może być prawdziwa.

— Jak sobie radzisz? — spytałem.

— Zupełnie nieźle. Mam ładne mieszkanie i traktują mnie dosyć przyzwoicie. Wiem jednak, że jestem bez przerwy śledzona. Mimo to uważam, że dokonałam właściwego wyboru. Kaparzy to niezwykli ludzie. Żyją tylko wojną i dla wojny. To wspaniała, szlachetna rasa.

— Poza tym są bardzo gościnni — dodałem.

Oczy jej nagle się zwężyły.

— Uważaj, Korvan Don. Możesz posunąć się za daleko. Pamiętaj, że ja teraz jestem Kaparką.

Roześmiałem się.

— Zawsze źle interpretujesz moje słowa, Sagro.

— Mam nadzieję — powiedziała oschle.

Wkrótce po jej odejściu podszedł do mnie Handon Gar.

— Oczywiście, że stąd wyjdiesz, ty podły psie — wycedził przez zęby. — Znam tę kobietę. Zawsze mi się wydawało, że jest szpiegiem. Pewnie wyjawiała jej plan naszej ucieczki.

W tym momencie strażnik, zobaczywszy, że rozmawiamy, natychmiast kazał nam się rozejść. Nie zdążyłem więc usprawiedliwić się przed Handon Garem. Ale właściwie jak miałem się bronić? Wyjawienie sekretów mojej misji w ogóle nie wchodziło w grę.

To, co zaszło następnego dnia, musiało potwierdzić podejrzenia Handon Gara, ponieważ zjawił się posłaniec od Gurrula z poleceniem natychmiastowego uwolnienia mnie. W dodatku w towarzystwie posłańca zjawiła się Morga Sa-gra, która z radością zarzuciła mi ręce na szyję.

Podziemną koleją zostałem przewieziony do Ergos, a następnie zaprowadzono mnie do Gurrula urzędującego w budynku dowództwa Zabo. Gurrul rozmawiał ze mną jakieś pół godziny i w czasie tej rozmowy często zadawał mi pytania dotyczące świata i systemu słonecznego, z którego, jak mówiłem, przybyłem na Polodę.

— Bez wątplenia nie jesteś Polodaninem — powie-

dział. — Nigdy nie było na tej planecie takiego człowieka jak ty. Nie mogę jednak zrozumieć, w jaki sposób się tutaj znalazłeś.

— Ja również nie rozumiem — przyznałem. — Lecz we Wszechświecie jest wiele rzeczy, których nie potrafimy pojąć.

— No cóż, Morga Sagra ręczy za ciebie i ja biorę ją za słowo — powiedział, a następnie poinformował mnie, że posłaniec zaprowadzi mnie teraz do specjalnie dla mnie wynajętego mieszkania. — Myślę, że wkrótce mi się do czegoś przydasz. Tak więc bądź w każdej chwili gotowy. Nie wychodź z mieszkania bez pozostawienia wiadomości, dokąd idziesz, a tym bardziej nie opuszczaj miasta bez mego zezwolenia.

Teraz zwołał do gabinetu mężczyznę, który miał zaprowadzić mnie do mojego mieszkania. Wiedziałem, że Gurrul wciąż mi nie ufa, lecz uważałem tę sytuację za zupełnie normalną, jako że tajna policja z reguły nikomu nie ufa. Jednak gdy poinformowałem Gurrula o pewnych tajemnicach, które Eljanhai polecił mi przekazać tylko ustnie, stosunek jego do mnie wyraźnie się zmienił. Był, można powiedzieć, nawet uprzejmy, kiedy pożegnał mnie słowami: „do widzenia”.

Kiedy w końcu dotarłem do mojej nowej kwatery, drzwi otworzył sympatycznie wyglądający chłopiec w liberii służącego.

— To twój pan, Korvan Don — powiedział ubrany na zielono agent Zabo, który mi towarzyszył.

— Nazywam się Lotar Canl, sir. Mam nadzieję, że będzie pan ze mnie zadowolony.

Apartament Morga Sagry znajdował się w tym samym budynku. Prawie natychmiast po moim wprowadzeniu zaczęto nas z Sagrą zapraszać na różne towarzyskie imprezy. Od początku miałem jednak wrażenie, że bezustannie jesteśmy śledzeni. Cały naród żyje tu w atmosferze intryg

i podejrzeń. Wojsko obawia się Zabo, Zabo nienawidzi wojska. Każdy obywatel natomiast panicznie boi się kilku ludzi zajmujących najważniejsze stanowiska w państwie, a ci z kolei obawiają się siebie nawzajem. Głową państwa jest Pom Da, to znaczy Wielki I. Pom Da rządzi krajem od dziesięciu lat. Zapewne kiedyś miał jakieś własne imię, lecz od dawna zostało ono zapomniane. Wielki I to okrutny i przebiegły potwór, który kazał zlikwidować wielu najlepszych przyjaciół, nie szczędząc nawet własnej rodziny.

Morga Sagra należała do wyjątkowo sprytnych dziewcząt. Natura wprost stworzyła ją do intryg i zdrady. Posiadała niezwykłą umiejętność wybiegania myślami naprzód i działania zawsze zgodnie z ustalonym wcześniej planem. Miała bardzo rozległe kontakty i wykorzystując je rozповідаła wszędzie, że przybyłem z innego świata. A czyniła tak nie po to, aby skupić na mnie zainteresowanie środowiska, w którym się obracaliśmy, lecz aby przekonać Kaparów, że będę wobec nich lojalny oraz że nie mam żadnych powiązań z Unisem. W końcu jej postępowanie zaczęło owocować — Wielki I posłał po mnie. Lotar Canl, mój służący, był wyraźnie podekscytowany, przekazując mi tę wiadomość.

— Z pewnością zajdzie pan bardzo wysoko, sir — powiedział — jeżeli Pom Da zainteresuje się panem. Jestem bardzo dumny, że mogę panu służyć, sir.

Od początku wiedziałem, że wiele mogę osiągnąć, zwracając na siebie uwagę Pom Da. Lecz dokąd te osiągnięcia mnie zaprowadzą, trudno było przewidzieć. Kręte są ścieżki sławy i zaszczytów, czasami prowadzą do upadku.

5

Kiedy znalazłem się w okazałym budynku, w którym urzędował szef Kaparii, zostałem najpierw dokładnie przeszukany, zapewne w celu usunięcia podejrzeń o posiadanie ukrytej broni. Następnie dwóch uzbrojonych strażników zaprowadziło mnie do pokoju, gdzie siedział ponury, wystrojony jak choinka oficer. Czekałem tutaj około pół godziny, a moi strażnicy cały czas stali obok mnie. Nagle drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju otworzyły się. W drzwiach stanął inny oficer i wywołał moje nazwisko.

Eskortujący mnie strażnicy podeszli wraz ze mną do drzwi olbrzymiego gabinetu, gdzie w samym końcu, za masywnym biurkiem, siedział jakiś mężczyzna. Strażnicy, którzy przyszli ze mną, pozostali na zewnątrz. Dwaj inni zajęli ich miejsce i przeprowadzili mnie przez cały gabinet, aż znalazłem się tuż przed obliczem Pom Da.

Był to człowiek raczej niepozorny, a widoczne na jego twarzy nerwowość, strach i podejrzliwość jeszcze to wrażenie potęgowały.

Przez chwilę Pom Da siedział i przyglądał mi się uważnie. Jego spojrzenie było wyjątkowo jadowite i wydawało się odbijać całe przepełnione nienawiścią wnętrze tego człowieka. Dopiero później dowiedziałem się, że nie było ono przeznaczone specjalnie dla mnie. Było typowe dla Pom Da, ponieważ cała ideologia, którą wyznawał, oparta była na nienawiści.

— A więc to ty jesteś ten zdrajca Korvan Don? — wrzasnął na mnie.

— Nie jestem zdrajcą — powiedziałem.

Jeden z oficerów chwycił mnie brutalnie za ramię.

— Kiedy zwracasz się do Pom Da — powiedział do mnie z wściekłością — zawsze mów Wasza Najwyższa Wysokość.

— Zdradziłeś Unis — ciągnął Pom Da ignorując moje poprzednie zachowanie.

— Unis nie jest moją ojczyzną, Wasza Najwyższa Wysokość.

— Twierdzisz, że przybyłeś z innego świata, z innego systemu słonecznego. Czy to prawda?

— Tak, Wasza Najwyższa Wysokość — odpowiedziałem.

— W czasie rozmowy tylko raz używa się zwrotu Wasza Najwyższa Wysokość — powiedział oschle oficer stojący tuż obok mnie.

Nauka etykiety Kaparów nie przychodziła mi łatwo.

Przez jakiś czas Pom Da wypytywał mnie o Ziemię i nasz system słoneczny oraz o to, skąd wiem, jak daleko znajduje się ten system od Polody. Wyjaśniłem mu wszystko najlepiej, jak tylko potrafiłem. Odniosłem jednak wrażenie, iż niewiele z tego rozumiał. Kaparzy w ogóle nie grzeszą inteligencją. Ich pierwszy Pom Da wymordował większość wykształconych obywateli, a jego następcą załatwił się z resztą, pozostawiając jedynie niedobitki.

— Kim byłeś w tym dziwnym świecie, z którego podobno pochodzisz?

— Byłem lotnikiem w siłach powietrznych mego kraju. Poza tym można powiedzieć, że byłem również wynalazcą. Pracowałem nad samolotem, który miał polecieć z Ziemi na inną planetę w naszym układzie słonecznym.

— Jak daleko od Ziemi znajduje się ta planeta?

— Jakieś siedemdziesiąt siedem milionów kilometrów — odpowiedziałem.

— To daleko. Czy uważasz, że mógłbyś taki samolot skonstruować?

— Myślę, że tak. Prawdę mówiąc, miałem już wszystko prawie gotowe, gdy na Ziemi rozpoczęła się wojna i zostałem zmobilizowany.

— Planeta Tonas znajduje się jakieś dziewięćset sześćdziesiąt tysięcy kilometrów od Polody — zadumał się.

Byłem przekonany, że Pom Da nie ujawnił do końca swoich myśli, chociaż mógłbym przysiąc, iż wiem, o co mu chodziło. Przed zakończeniem trwającej pół godziny rozmowy poprosiłem o zwrot zabranego mi w czasie rewizji złota i kosztowności. Pom Da wydał polecenie jednemu z oficerów, aby wszystko, cokolwiek mi zabrano, natychmiast do mnie wróciło. Następnie mnie odprawił.

Po wyjściu z gabinetu Pom Da zostałem odwieziony do mojego mieszkania samochodem Zabo, a towarzyszący mi w drodze mężczyźni zachowywali się wobec mnie niezwykle uniżenie. Kiedy służący otworzył drzwi i zobaczył, jak moja eskorta chyli przede mną głowy, nazywając Waszą Wysokością, uczucie dumy wyraźnie rozpromieniło jego twarz.

Po chwili przyszła do mnie Morga Sagra. Musiałem jej dokładnie opowiedzieć o przebiegu wizyty u Pom Da. Była ze mnie bardzo dumna. Szczególnie imponowały jej zaszczyty, jakimi mnie na każdym kroku obsypywano.

Zaczęliśmy być zapraszani do domów najwybitniejszych osobistości w kraju.

Nazajutrz po rozmowie z Pom Da zwrócono mi złoto i klejnoty. Miało to dla nas ogromne znaczenie, ponieważ utrzymanie w Kaparii wysokiej pozycji towarzyskiej było bardzo kosztowne.

Wśród naszych znajomych była kobieta o nazwisku Gimmel Góra, z którą Morga Sagra zaprzyjaźniła się w czasie, kiedy ja przebywałem w obozie pracy. Ona i jej przyjaciel Grunge bardzo często u nas bywali. Nie byli

małżeństwem, ponieważ w Kaparii już od stu lat małżeństw się nie zawiera, uważając je za głupi i sentymentalny przeżytek. Nie darzyłem sympatią ani Gimmel Góry, ani Grunge'a. Prawdę powiedziawszy, to nie lubiłem żadnego z dotychczas poznanych Kaparów, może z wyjątkiem mego służącego, Lotar Canla, chociaż liczyłem się z tym, że może być agentem Zabo.

Kaparzy byli arogancy, głupi i okrutni, a Grunge nie był wyjątkiem. Nie mam pojęcia, czym się zajmował i nigdy o to nie pytałem. Jeżeli ktoś nieznajomy zadaje w Kaparii zbyt dużo pytań, może się w każdej chwili spodziewać, że zetną mu głowę (w tym kraju amunicji się nie marnuje).

Zawieraliśmy wciąż nowe znajomości. Jeżeli jednak chodzi o moją misję, nie posunąłem się ani o krok do przodu. O skonstruowanym przez Kaparów wzmacniaczu nie udało mi się zdobyć żadnych wiadomości. Często w rozmowach wspominałem o samolocie, nad którym pracowałem w moim świecie, mając nadzieję, że uda mi się otrzymać jakąś wskazówkę, która naprowadzi mnie na właściwy ślad. Jednak mijały już dwa miesiące mego pobytu w Er-gos, a ja wciąż tkwiłem w punkcie wyjścia. Wyglądało na to, że żaden wzmacniacz mocy nie istnieje, a Komisarz Wojny był po prostu źle poinformowany.

Pewnego dnia przed budynkiem, w którym mieszkałem, zatrzymał się zielony samochód. Lotar Canl, który stał akurat przy oknie, natychmiast go zauważył i, kiedy po chwili rozległo się walenie do naszych drzwi, spojrzął na mnie lękliwie.

— Mam nadzieję, że nie był pan nierozważny — po wiedział i poszedł otworzyć drzwi.

Chciałem wierzyć, że to jakaś pomyłka, chociaż wiedziałem, że ci groźni ludzie ubrani na zielono nie wzywają nikogo bez powodu.

— Ty jesteś Korvan Don? — zapytał jeden z nich, pa trząc na mnie.

— Tak — skinąłem głową.

— Pójdiesz z nami.

I to było wszystko. Po prostu „pójdiesz z nami” — nic więcej. Wyszedłem z nimi, a oni zawieźli mnie do tego straszego budynku z pokrytą rzeźbami fasadą i zostałem zaprowadzony do gabinetu Gurrula.

Zanim się odezwał, przez jakieś pół minuty wpatrywał się we mnie złym spojrzeniem.

— Czy zdajesz sobie sprawę, co się dzieje z ludźmi, którzy wiedzą o zbrodniach przeciwko państwu i nie donoszą o nich władzom? — zapytał.

— Chyba tak — odpowiedziałem.

— No więc, czterech więźniów uciekło z obozu pracy, w którym przebywałeś.

— Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną — odpowiedziałem.

Gurrul z uwagą przeglądał leżące przed nim na biurku papiery.

— Tutaj — powiedział — wyraźnie jest napisane, że kilkakrotnie zostałeś przyłapany na szeptaniu z Handon Garem i Tunzo Borem!

— Tylko w ten sposób można tam rozmawiać — zauważyłem.

Znów zaczął przeglądać papiery.

— Wygląda na to, że byłeś zaprzyjaźniony z Tunzo Borem już od pierwszego dnia pobytu w obozie, z Handon Garem również, chociaż muszę przyznać, że nie ma tu żadnej wzmianki, abyś utrzymywał jakieś szczególne kontakty z pozostałymi dwoma zbiegami. No, a teraz — wrzasnął — gadaj, o czym to z nimi szeptałeś!

— Przepytywałem ich — powiedziałem.

— Dlaczego? — zapytał.

— Chciałem uzyskać możliwie najwięcej różnych informacji od wielu osób. Widzi pan, w mojej ojczyźnie również służyłem w Zabo. To takie zawodowe podejście:

w każdej sytuacji wyciągnąć od wroga jak najwięcej wiadomości.

— A zdobyłeś jakiegoś?

— Myślę, że byłem tego bliski, lecz po tym, gdy przyszła do mnie Morga Sagra, nie chcieli już ze mną rozmawiać.

— Zanim Handon Gar zbiegł, powiedział kilku więźniom, że jesteś unisańskim szpiegiem! — wykrzyknawszy to oskarżenie Gurrul spojrział na mnie takim wzrokiem, jakby sam chciał pozbawić mnie głowy.

Roześmiałem się.

— Sam mu to powiedziałem. Pewnie chciał się zemścić za to, że go oszukałem.

Gurrul pokiwał głową.

— Tylko bardzo inteligentny agent postąpiłby w ten sposób. To był pierwszy donos na ciebie. Cieszę się, że wyszedłeś z tego obronną ręką. — Wypowiedziawszy te słowa, pozwolił mi odejść.

Kiedy wolno podążałem w kierunku mojego mieszkania, będąc już w odległości około kilometra od siedziby Zabo myślnami jeszcze raz powróciłem do mojej rozmowy z Gurrulem. Po chwili zastanowienia podejrzałe wydało mi się, że Gurrul tak skwapliwie odrzucił podejrzenie zawarte w donosie na mnie. To było zupełnie do niego niepodobne. Miałem dziwne uczucie, że wciąż mi nie dowierza, a wezwał mnie jedynie dlatego, aby udowodnić, jak łatwo można uwięzić kogoś, kto nie jest wobec władzy lojalny. Że Gurrul mi nie ufa, przekonałem się, zanim jeszcze dotarłem do domu. Po drodze dwukrotnie wstępowałem do sklepu i za każdym razem, gdy wychodziłem, widziałem tego samego typa krążącego w pobliżu. Byłem więc śledzony i to w sposób bardzo prymitywny. Pomimo to nie mogłem sobie pozwolić nawet na chwilę nieuwagi, mogło to zbyt wiele mnie kosztować.

Po drodze spotkałem Grunge'a. Szedł w towarzystwie

nie znanego mi mężczyzny, którego przedstawił jako Hort-hal Wenda. Był to człowiek w średnim wieku, o bardzo sympatycznej twarzy, co go zdecydowanie wyróżniało spośród wszystkich znanych mi Kaparów.

Zaproponowali mi drinka, a ponieważ byłem pewny, że Grunge ma coś wspólnego z Zabo, zaproszenie to bez wahania przyjąłem. Grunge zawsze miał przy sobie duże sumy pieniędzy, mimo że jego wygląd absolutnie na to nie wskazywał. Właśnie dlatego sądziłem, że albo jest członkiem Zabo, albo narzędziem w ich rękach. Uważałem, że częste przebywanie w towarzystwie ludzi jego pokroju, przy zachowaniu maksymalnej ostrożności, może spowodować, iż raporty przekazywane Gurrulowi na mój temat nie będą dla mnie groźne. Starłem się również, aby nigdy nie pozostawać z kimkolwiek sam na sam, a tym bardziej nigdy nie mówić szeptem. Nic nie było bardziej podejrzane dla członków Zabo, jak szeptanie po kątach.

Grunge i Horthal Wend zamówili wino. Grunge musiał okazać specjalne zezwolenie upoważniające do nabycia alkoholu. To jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że miał bliskie kontakty z Zabo, ponieważ zezwolenie takie otrzymywali jedynie wyjątkowo zasłużeni obywatele Kapani.

Nie uległem namowom Grunge'a i zamówiłem napój bezalkoholowy. Zawsze przestrzegałem zasady, iż nigdy nie piję alkoholu wtedy, gdy mam załatwić jakąś wyjątkowo ważną sprawę. Grunge był wyraźnie zawiedziony. Prawdopodobnie liczył na to, że wino rozwiąże mi język; była to znana i dość przestarzała już metoda wyciągania informacji, stosowana przez tajną policję.

Sposób bycia Horthal Wenda był równie ujmujący jak jego wygląd. Bardzo go polubiłem. Zanim się rozstaliśmy, obiecałem, iż wkrótce odwiedzę go wraz z Morga Sagra.

Nawet nie przypuszczałem wtedy, jak bardzo mnie do tknie śmierć tego sympatycznego człowieka.

Następnego wieczoru Sagra i ja jedliśmy kolację w towarzystwie Grunge'a i Gimmel Góry. Podczas posiłku wspomniałem o Horthal Wendzie i podkreśliłem, że zrobił on na mnie wrażenie człowieka bardzo sympatycznego i inteligentnego.

— Myślę, że rzeczywiście jest inteligentny — powiedział Grunge. — Lecz, jak na mój gust, trochę nazbyt układny. Poza tym jest człowiekiem wrażliwym i łagodnym, a te cechy nie są mile widziane w Kaparii. Mimo to jego pozycja, dzięki Pom Da, jest niezwykle wysoka. W tej sytuacji utrzymywanie z nim bliskich kontaktów nie jest niebezpieczne. Nasz ukochany Pom Da nigdy nie myli się w ocenie czegokolwiek, a już ludzi w szczególności.

Nie mogłem oprzeć się myśli, że jeżeli Kaparzy nie mogą być ani wrażliwi, ani inteligentni, to Grunge był idealnym Kaparem. Użycie przez Grunge'a słowa „ukochany” w odniesieniu do Pom Da, mogłoby wskazywać, że jednak był wrażliwy. W moim odczuciu było to jednak pochlebstwo bardziej oddające strach niż miłość.

Wciąż w myślach porównywałem Kaparów z Unisami. Tutaj, w Kaparii, wszędzie dookoła panuje podejrzliwość i strach: strach przed siłami nadprzyrodzonymi, które są nie do pokonania, strach przed najbliższym sąsiadem, strach przed własnym służącym, strach przed najlepszym

przyjacielem oraz podejrzliwość w stosunku do wszystkich, bez wyjątku.

Przez cały wieczór Sagra była dziwnie zamyślona. Z kolei Grunge był niezwykle rozmowny i prawie uprzejmy. Większość swych wypowiedzi i ciężkawych dowcipów kierował do Sagry, natomiast gdy zwracał się do Gimmel Góry, stawał się nieprzyjemny i wręcz złośliwy. W stosunku do mnie był wyjątkowo uprzejmy, co uznałem za niezwykle, ponieważ Grunge rzadko bywał miły wobec kogoś, kogo nie musiał się obawiać.

— Powinniśmy być wdzięczni losowi za ten wspaniały dar przyjaźni, która istnieje między nami — odezwał się do mnie. — Czuję się tak, jakbym cię znał od dawna, Korvan Don. Rzadko się zdarza, aby w tak krótkim czasie dwóch ludzi tak sobie zaufało jak my.

— Masz rację — odpowiedziałem. — Lecz wydaje mi się, że na ogół instynkt podpowiada nam, do kogo możemy mieć zaufanie.

Zastanawiałem się, do czego on zmierza i nie musiałem zbyt długo czekać na odpowiedź.

— Już jakiś czas jesteś w Kaparii — ciągnął. — I podejrzewam, że nie wszystko, co tu przeżyłeś, dobrze wspominasz. Mam na myśli na przykład obóz pracy czy też uwięzienie w podziemiach dowództwa Zabo.

— No cóż, każdemu wolność bardziej odpowiada niż więzienie — powiedziałem. — Ale zdaję sobie sprawę z tego, że w czasie wojny muszą być podjęte nadzwyczajne środki ostrożności i Kaparzy również mają do tego prawo. To prawda, że nie bawiło mnie przebywanie w więzieniu, lecz nie narzekam, byłem dobrze traktowany.

Tak jak instynktownie rozpoznaje się prawdziwego przyjaciela, tak samo bywa z przebiegłym, pozbawionym jakichkolwiek skrupułów wrogiem. Wyjątkowo niebezpiecznym typem wydawał mi się właśnie Grunge. Byłem

pewien, że chce zdobyć moje zaufanie, by po tym, gdy z czymś się zdradzę, donieść na mnie do Zabo.

Był nieco zakłopotany moją reakcją, lecz powiedział:

— Cieszę się, że to słyszę. A tak tylko do mojej wiadomości: powiedz, co sądzisz o Gurrulu.

— To wspomniały, niezwykle inteligentny człowiek, znakomicie nadający się na stanowisko, które zajmuje — odpowiedziałem. — Pomimo że musi mieć do czynienia z tymi wszystkimi kryminalistami, łotrami i zdrajcami, jest według mnie bez zarzutu. Postępuje zawsze zgodnie z prawem, a jednocześnie nie jest skażony żadną słabością ani głupim sentymentalizmem. — Zaczynałem mówić i kłamać jak prawdziwy Kapar.

Gdy wracaliśmy z Sagra do domu, zapytałem, jakie są powody jej wyjątkowo złego w tym dniu nastroju.

— Czuję się osaczona — odpowiedziała. — Grunge się do mnie zaleca i Gimmel Góra wie o tym. Bardzo się boję ich obojga, ponieważ podejrzewam, że są agentami Zabo.

— Nie musimy się przecież niczego obawiać — powiedziałem. — Czyż nie jesteśmy dobrymi Kaparami?

— Jeśli chodzi o ciebie, to czasami mam wątpliwości — powiedziała.

— Może na początku byłem nazbyt krytyczny — stwierdziłem. — Lecz to miało miejsce, zanim zrozumiałem, jak wspomniała jest ich ideologia. Teraz jestem już tak dobrym Kaparem jak inni.

Moja wypowiedź mogła świadczyć, że obawiałem się Morga Sagry. I tak rzeczywiście było. Bałem się zresztą nie tylko jej. Bałem się Grunge'a, Gimmel Góry, mojego służącego, Lotar Canla i wszystkich innych dookoła. W ten sposób stałem się wreszcie typowym Kaparem.

Kiedy tej nocy wróciłem do domu, zastałem moje mieszkanie całkowicie splądrowane. Zawartość wszystkich szuflad rozrzuciona była po podłodze, moje ubrania były podarte, a materace rozprute.

Podczas gdy usiłowałem zrozumieć, co się tu właściwie wydarzyło, wrócił Lotar Canl. Rozejrzał się dookoła i z niewinnym uśmiechem na twarzy powiedział:

— To włamywacze. Mam nadzieję, że nie zabrali nic cennego, sir.

Większość mego złota i kosztowności schowałem w bezpiecznym miejscu. Lecz oprócz tego co miałem przy sobie, garść złota zostawiłem w jednej z szuflad mego biurka. Teraz leżało ono również wśród rozrzuconych rzeczy na podłodze.

— Jak widać — powiedziałem — nie zwrócili na to złoto uwagi. Poza nim nie było w mieszkaniu nic cennego.

— Musieli się widocznie czegoś przestraszyć i zbiegli, zanim zdążyli to zabrać — zauważył Lotar Canl.

Ta idiotyczna gierka, którą obydwaj prowadziliśmy, była po prostu śmieszna. Żaden z nas nie miał odwagi powiedzieć prawdy, że mieszkanie zostało najzwyczajniej przeszukane przez policję.

— Cieszę się — powiedział Lotar Canl — że poza tym złotem nic więcej cennego nie miał pan w mieszkaniu.

Kiedy następnego dnia spotkałem się z Morgą Sagrą, nic jej o całym tym zajściu nie powiedziałem. Zdążyłem się już bowiem nauczyć, że o tym, co się dzieje w domu, nikomu nie należy nawet wspominać. Natomiast Sagra przyznała się, że jest bezustannie śledzona, a jej mieszkanie było już trzykrotnie przeszukiwane. Wciąż powtarzała, że jest tym wszystkim śmiertelnie przerażona.

— Muszę mieć jakiegoś wroga — powiedziała. — Wroga, który nie powstrzyma się przed niczym, aby mnie zniszczyć.

— Czy kogoś podejrzewasz? — zapytałem.

— Chyba tak.

— Sądzisz, że to sprawka Gimmel Góry?

Pokiwała głową i wyszeptwała:

— Strzeż się Grunge'a. On sądzi, że coś nas łączy i będzie chciał się ciebie pozbyć.

Jakiegokolwiek związki uczuciowe pomiędzy mną i Morga Sagrą nie wchodziły w ogóle w grę. Sagra posłużyła się mną, ażeby znaleźć się w Kaparii, a trzymaliśmy się razem, ponieważ byliśmy oboje zupełnie tu obcy. Wiem, że odpowiadało jej moje towarzystwo, a ja wciąż uważałem ją za niezwykle dowcipną i bardzo atrakcyjną dziewczynę potrafiącą, gdy była w formie, rozbawić każde towarzystwo. Jeżeli przestępcę zawsze musi spotkać kara, to myślę, że właśnie w tej chwili dosięgnęła Morga Sagrę. Byłem pewien, że zrobiłaby w tej chwili wszystko, by z powrotem znaleźć się w Unisie.

Tego wieczoru byliśmy zaproszeni do Horthal Wenda i jego przyjaciółki Halei Gery. Była to kobieta ciężko myśląca, o płytkim raczej intelekcie, jednak z pewnością znakomita gospodyni. Takiej właśnie towarzyszki potrzebował Horthal Wend, ponieważ zaliczał się do mężczyzn wygodnickich, a zarazem potrzebujących opieki.

Rozmawialiśmy o sztuce, literaturze, muzyce, pogodzie oraz o wspaniałej kaparskiej ideologii — jedynych bezpiecznych do dyskusji tematach w Kaparii. Nie znaczy to, aby nawet ta rozmowa toczyła się zupełnie swobodnie. Należało za wszelką cenę wystrzegać się wyrażania pochlebnych opinii o twórczości kogokolwiek, kto nie cieszył się sympatią przywódców narodu czy też Zabo. W przeciwnym wypadku można było narazić się na duże nieprzyjemności.

Podczas wieczoru towarzyszył nam czternastoletni syn gospodarzy, Horthal Gyl. Był dzieckiem nazbyt rozwiniętym na swój wiek. Ponadto okazał się hałaśliwym, pewnym siebie mądrałą. Bez przerwy wtrącał się do rozmowy, aby po krótkim czasie zupełnie ją zdominować.

Horthal Wend bardzo kochał swojego syna, był z niego dumny i często mu to okazywał. W pewnej chwili, gdy wy-

konał gest, tak jakby chciał chłopca przytulić, ten go gwałtownie odepchnął.

— Nie rób tego! — warknął na ojca. — Takie sentymentalne gesty nie powinny mieć miejsca u Kaparów. Wstydzę się za siebie!

— Ależ kochanie — odezwała się łagodnie matka. — Przecież to nic złego, że twój ojciec cię kocha.

— Nie chcę, aby mnie kochał — odpowiedział oschle chłopiec. — Chcę jedynie, aby mnie podziwiał i był ze mnie dumny, ponieważ jestem twardy. Nie chcę, aby ktokolwiek musiał wstydzić się za mnie, tak jak ja wstydzę się za niego, że jest taki miękki i sentymentalny.

Horthal Wend usiłował się uśmiechnąć, jak gdyby o czymś sam siebie chciał przekonać.

— Widzisz, to dobry Kapar — powiedział, jak mi się wydawało, z odcieniem smutku w głosie.

— Tak, to prawda — odpowiedziałem.

Chłopak spojrział na mnie podejrzliwie. Widocznie wypowiadając te słowa nie zdołałem ukryć mych najskrytszych myśli.

Wkrótce po tym zdarzeniu pożegnaliśmy się. Kiedy szliśmy w stronę domu, ogarnęło nagle uczucie silnego przygnębienia wywołanego z pewnością tą przykrą sceną, której świadkami byliśmy przed chwilą.

— Horthal Gyl wyrośnie na idealnego Kapara — odezwałem się.

— Może lepiej zmieńmy temat — odpowiedziała Sagra.

Gdy tylko znalazłem się w domu, natychmiast poszedłem spać. Lotar Canal poprosił mnie o wolną noc, tak więc gdy tuż po północy obudziło mnie walenie do drzwi, sam musiałem pójść otworzyć. Do środka mieszkania wtargnęło dwóch ubranych na zielono agentów Zabo z wymierzonymi we mnie pistoletami.

— Ubieraj się i chodź z nami — odezwał się jeden z nich.

— To musi być jakieś nieporozumienie — powiedziałem. — Nazywam się Korvan Don, z pewnością nie o mnie wam chodzi.

— Zamknij się i ubieraj — ciągnął tamten — albo zabierzemy cię w pizamie.

Kiedy się ubierałem, za wszelką cenę starałem się zebrać myśli i zastanowić, jaka była przyczyna najścia policji na mój dom. Zadawanie agentom jakichkolwiek pytań zupełnie nie miało sensu. Nawet gdyby wiedzieli, w co raczej wątpiłem, i tak by się z tym nie zdradzili. W pierwszej chwili pomyślałem o Grunge'u, przypominając sobie ostatnią rozmowę z Morga Sagra. Lecz szybko tę myśl porzuciłem. Ten człowiek nic nie mógł mieć przeciwko mnie, chyba że sam sfabrykował jakąś historyjkę.

Zostałem od razu zaprowadzony do Gurrula. Mimo iż dawno już minęła północ, on wciąż był w biurze. Spojrzał na mnie tym swoim okropnym wzrokiem i nagle wrzasnął:

— A więc nareszcie wpadłeś, ty plugawy łotrze! Od samego początku wiedziałem, co z ciebie za ptaszek, a ja się nigdy nie myłę.

— Nie wiem, o czym pan mówi — odezwałem się. — Od czasu przybycia do Kaparii nie wypowiedziałem ani jednego słowa, które można by potraktować jako wywrotowe. Nikt nie może mi udowodnić, że jestem gorszym Kaparem niż pan.

— A więc? — warknął. — Nie powiedziałaś nic przeciwko nam? Oczywiście, że nie, idioto; ty to napisałeś. — W tym momencie wyjął z szuflady małą, czerwoną książeczkę i zaczął nią machać przed moją twarzą. — Twój pamiętnik, ty głupcze! — Przerzucił kilka stron, przebiegając po nich wzrokiem, po czym przeczytał: — „Gurrul to tłusty idiota”. A więc jestem tłustym idiotą, tak? — Przerzucił kolejne kartki i znowu przeczytał. — „Zabo to kretyni i mordercy. Kiedy nasza rewolucja zwycięży, wszystkich ich zgładzimy, a Gurrula wykończę własnoręcznie”. I co masz do powiedzenia? — Znowu przerzucił kilka stron i ponownie przeczytał. — „Pom Da to egoistyczny maniak i będzie jednym z pierwszych, którego zlikwidujemy, kiedy razem z J obejmujemy władzę w Kaparii”. Kto to jest J? — wrzasnął.

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odpowiedziałem.

— A więc dobrze, są sposoby, żebyś sobie przypomniał — powiedział wstając i okrążywszy biurko jednym uderzeniem pięści powalił mnie na ziemię, zanim zdążyłem się zorientować, co chce zrobić.

Podniosłem się z zamiarem zwrócenia mu tego, co przed chwilą od niego otrzymałem, lecz natychmiast zostałem ujęty przez kilku drabów.

— Zwiążcie mu ręce — rozkazał Gurrul; natychmiast wykręcono mi je do tyłu i założono kajdanki na przeguby dłoni. — Lepiej będzie dla ciebie, jak mi powiesz, kim jest

J, albo otrzymasz coś znacznie gorszego niż to, co przed chwilą. A więc kim jest ten J? Jeśli powiesz, karą nie będzie zbyt surowa.

— Nie wiem, kim jest J — odpowiedziałem.

— Zajmijcie się nim — rozkazał Gurrul.

Zabrano mnie do sąsiedniego pokoju, którego wyposażenie wskazywało, iż jest to izba tortur. Po chwili, kiedy Gurrul uznał, że wygląd tego pokoju wywarł na mnie już wystarczające wrażenie, ponownie zwrócił się z pytaniem: „Kim jest J?” Zaczął mnie bić, a kiedy upadłem, kopał chcąc zmusić do zeznań. Gdy wciąż powtarzałem, że nie znam żadnego J, jeden z przesłuchujących zaczął mnie przypalać rozpalonym żelazem.

— Teraz zajmimy się twoim prawym okiem — powiedział Gurrul. — Kto to jest J?

Przez blisko godzinę próbowali coś ze mnie wydobyć. Gdy wreszcie dali za wygraną, byłem bliski śmierci.

— No cóż — powiedział Gurrul — nie mam ochoty spędzić reszty nocy z tym upartym durniem. Sprowadźcie go na dół i zlikwidujcie, chyba że zmańdrzeje i powie nam, kim jest J.

Tak więc zbliżał się koniec mojej misji. Nie wypełniłem zadania, a mimo to skazano mnie na śmierć. Jako szpieg poniosłem absolutną klęskę.

Zostałem brutalnie postawiony na nogi, ponieważ sam nie byłem w stanie tego zrobić. W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Lotar Canl. Gdy go ujrzałem, moje podejrzania stały się pewnością. Od pierwszej chwili wydawało mi się, że mój służący jest agentem Zabo. Teraz pomyślałem, że to on musiał przekazać Zabo ten sfalszowany pamiętnik. Prawdopodobnie liczył na zdobycie awansu dzięki ujawnieniu spisku przeciwko państwu.

Rozejrzał się po pokoju i zwracając się do Gurrula zapytał:

— Co ten człowiek tu robi?

— To zdrajca, który konspirował przeciwko naszemu krajowi — odrzekł Gurrul. — W pamiętniku, który znaleźliśmy w jego biurku, jest na to dowód.

— Tak właśnie myślałem — odezwał się Lothar Canl. — Wróciłem do domu trochę wcześniej i zobaczyłem, że książka zniknęła z jego biurka.

— Wiedziałeś o tej książce? — zapytał Gurrul.

— Oczywiście — odpowiedział Lotar Canl. — Wiedziałem, jak ktoś ją tam wkłada. Korvan Don nic o niej nie wiedział. Obserwuję tego człowieka bardzo uważnie od chwili, gdy się tu zjawił i nie mogę powiedzieć o nim nic złego. On jest tak dobrym Kaparem, jak każdy z nas.

Gurrul zupełnie stracił pewność siebie.

— Kto włożył tę książkę do jego biurka? — zapytał.

— Człowiek, który to zrobił, był jedynie nieświadomym narzędziem — ciągnął Canl. — Aresztowałem go. Jest w sąsiednim pokoju pod strażą. Może go pan przesłuchać.

Po chwili aresztowany mężczyzna został wprowadzony. Gurrul pokazał mu pamiętnik i zapytał, czy to on podłożył go do swojego biurka. Biedaczysko trząsł się tak bardzo, że z ledwością wykrztusił odpowiedź.

— Tak, Wasza Wysokość.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał Gurrul.

— Przedwczoraj krótko po północy przyszedł do mnie jakiś człowiek. Pokazał w słabym świetle przypiętą do ubrania odznakę Zabo, starając się jednocześnie, aby twarz pozostawała przez cały czas w ukryciu. Powiedział, że z polecenia Zabo mam umieścić pewną książkę w biurku Korvan Dona. Zaznaczył, że to jest pana decyzja, Wasza Wysokość.

W tym momencie Gurrul odwołał Lothar Canla na bok i szeptał z nim przez kilka minut, po czym powiedział do przesłuchiwanego mężczyzny:

— Możesz iść, lecz zapamiętaj: nikt nigdy do ciebie

o północy nie przyszedł, nie kazał ci podkładać czegokolwiek do czegokolwiek biurka, nie było cię tutaj dzisiaj i nikogo nie widziałeś w tym pokoju. Jasne?

— Tak, Wasza Wysokość — odpowiedział mężczyzna.

— Zabierzcie go stąd i dopilnujcie, aby dotarł do domu — zwrócił się Gurrul do dwóch agentów, którzy zatrzymali tego mężczyznę doprowadzili na przesłuchanie. Następnie powiedział do mnie: — Pomyłki zawsze się zdarzają. To z pewnością godne pożałowania, ale tak już niestety jest. Czy masz jakieś podejrzenia, komu mogło zależeć na tym, aby ta książka znalazła się u ciebie? — zapytał.

Wydawało mi się, że mógł to być Grunge, ale odpowiedziałem:

— Nikogo nie podejrzewam. Z tego, co wiem, nie mam żadnego wroga w Kaparii. Nie ma również żadnego powodu, aby ktokolwiek aż tak źle mi życzył. — Przeczuwałem, że Grunge był agentem Zabo, a jeżeli tak było, wpakował bym się w niezłe tarapaty oskarżając go.

Gurrul zwrócił się do jednego ze swoich oficerów:

— Zabierzcie tego człowieka do szpitala — powiedział — i dopilnujcie, ażeby otrzymał najlepszą opiekę. — Później odwrócił się w moją stronę. — Nie wolno ci nigdy wspominać o tym, co cię tu spotkało. Wracając do domu zostałeś potrącony przez samochód. Rozumiesz?

Kiwnąłem potakująco głową. Po chwili posłali po nosze i zostałem zabrany do szpitala.

Następnego dnia odwiedziła mnie Sagra. Powiedziała, że znalazła pod drzwiami kartkę z informacją, że miałem wypadek oraz w jakim szpitalu się znajduję.

— Tak — potwierdziłem. — Potrącił mnie samochód.

Wyglądała na przerażoną.

— Czy nie sądzisz, że to może się powtórzyć? — zapytała.

— Mam nadzieję, że to nie będzie ten sam samochód — odpowiedziałem.

— Jestem potwornie przerażona — powiedziała Sagra.
— Myślę, że teraz przyszła kolej na mnie.

— Uważaj na samochody — poradziłem jej.

— Gimmel Góra przestanie ze mną rozmawiać, natomiast Grunge nie zostawi mnie w spokoju. Powiedział mi, żebym niczego się nie bała, ponieważ jest agentem Zabo.

— Tak też myślałem — wtrąciłem — i do tego jest zwiariowanym kierowcą.

— Tak bardzo bym chciała znowu być w Orvis — odezwała się Morga Sagra.

— Uważaj, co mówisz — ostrzegłem ją.

Spojrzała na mnie szeroko rozwartymi z przerażenia oczami.

— A więc ty też? — zapytała.

— Nie, ja nie — zapewniłem ją. — Ale te ściany mają uszy.

— Szkoda, że nie możesz mi powiedzieć, co się naprawdę wydarzyło — ciągnęła.

Pokręciłem głową.

— Powiedziałem ci przecież. Potrącił mnie samochód, a kierowca zbiegł.

— Chyba masz rację. Dochodzę do wniosku, że zbyt dużo mówię, lecz jestem bliska szaleństwa. Zwariuję jeśli nie będę mogła o moich obawach z kimś porozmawiać.

Zdrada to straszna rzecz i kara za nią musi być równie straszna.

W szpitalu przebywałem około dwóch tygodni. Wreszcie zostałem zwolniony i mogłem powrócić do domu, jednakże długo jeszcze musiałem leżeć w łóżku. Zamiast Lotar Canla przywitał mnie ktoś zupełnie inny. Wręczył mi list, w którym mój były służący pisał, iż zdaje sobie sprawę, że będę potrzebował kogoś do pomocy po powrocie ze szpitala. Poleca mi więc tego człowieka, który zwie się Danul.

Następnego dnia Lotar Canl przyszedł mnie odwiedzić. Gdy rozmawialiśmy, napisał coś na kawałku papieru i wręczył mi go. „Danul nie jest powiązany z Zabo, ale z pewnością jest dobrym Kaparem”.

Gdy przeczytałem kartkę, Lotar Canl wyjął mi ją z ręki i spalił. Zrobił to bardzo dyskretnie, aby Danul niczego nie zauważył.

To straszne żyć w nieustannym strachu, wśród podejrzeń i nienawiści. Efekty takiego życia widoczne są na twarzach większości ludzi w Kaparii. Lotar Canl zachowywał się zupełnie inaczej. Rozmowa z nim zawsze sprawiała mi radość, choć zwracaliśmy uwagę na to, ażeby nie poruszać zakazanych tematów.

Od czasu gdy przybyłem do Ergos, prawie codziennie słyszałem detonacje bomb zrzuconych na miasto przez uni-sańskich lotników. Mogłem wyobrazić sobie moich kolegów przelatujących wysoko nad kompletnie zniszczonym

miastem. Jedyne raporty, do których miałem dostęp, donosiły o zwycięstwach Kaparów, o ogromnej liczbie strąconych samolotów wroga i niewielkich własnych stratach; często też mówiły o straszliwych bombardowaniach Orvis lub innych miast Unisu. Zgodnie z tymi oficjalnymi raportami, Kaparia bliska była wygrania wojny.

Ostatnio coraz częściej myślałem o Harkas Yamodzie oraz innych przyjaciółach z Orvis. Byłem bardzo przygnębiony, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że nie mogę tam wrócić, dopóki nie wypełnię mojej misji. A wciąż byłem od tego daleko. Częste nawiązywanie w rozmowach do mojego wynalazku nie przynosiło żadnego efektu. Zdawało się, że nikt o wzmacniaczu w ogóle nie słyszał. Zacząłem już tracić nadzieję, ponieważ w celu zdobycia informacji, o które mi chodziło, należało najpierw dotrzeć do tego, kto nad wynalazkiem pracował. Oczywiście, nie mogłem nawet wspomnieć, że wiem, iż w Kaparii prowadzone są takie prace.

Codziennie odwiedzała mnie Sagra, poświęcając mi bardzo dużo czasu. Pewnego dnia przyszedł również Grunge.

— Bardzo się zmartwiłem wiadomością o twoim wypadku — powiedział. — Zamierzałem przyjść wcześniej, ale byłem bardzo zajęty. W Ergos jest wielu zwariowanych kierowców. Trzeba być ostrożnym.

— No cóż — powiedziałem. — Może to była moja wina. Prawdopodobnie nie zachowałem ostrożności przechodząc przez ulicę.

— Nigdy za dużo ostrożności — powtórzył Grunge.

— Właśnie sam doszedłem do tego wniosku — odpowiedziałem. — Nawet przyjaciel może cię potracić.

Rzucił na mnie szybkie spojrzenie. Nie pozostał zbyt długo. Odniosłem wrażenie, że jest jakiś nieswój i nie czuje się przy mnie swobodnie. Odetchnąłem z ulgą, kiedy w końcu wyszedł, ponieważ im dłużej na niego patrzyłem, tym mniej mi się podobał.

Pewnego dnia, gdy była u mnie Sagra, przyszedł Hort-hal Wend z przyjaciółką i synem. Usprawiedliwiał się, że nie odwiedził mnie wcześniej, ale dopiero niedawno dowiedział się o moim wypadku. Nie pytał o szczegóły, ale zrobił to za niego Horthal Gyl.

— Zostałem potrącony przez samochód — powiedziałem. Gyl spojrzął na mnie znacząco i zaczął coś mówić, ale ojciec mu przerwał.

— Ja i matka Gyla jesteśmy z niego bardzo dumni. Jest najlepszym studentem na roku — powiedział Horthal Wend patrząc z uwielbieniem na syna.

— Co studiujesz? — zapytałem jedynie z grzeczności, ponieważ naprawdę było mi to zupełnie obojętne.

— A jak pan myśli? — prowokująco rzucił w odpowiedzi. — Oczywiście, że wojnę.

— Bardzo interesujące — skomentowałem.

— Zresztą nie tylko to studiuję — ciągnął. — Ale to już sprawa tylko moja i mojego wykładowcy.

— Gdy dorośniesz, na pewno zechcesz zostać lotnikiem. — Kontynuowałem tę rozmowę, aby okazując zainteresowanie synem sprawić przyjemność ojcu.

— Kiedy dorosnę, zostanę agentem Zabo — powiedział chłopak. — Od dawna się do tego przygotowuję.

— A na czym to przygotowanie polega? — zapytałem.

— Niech pan nie będzie zbyt ciekawy — ostrzegł mnie. — Może to nie wyjść panu na zdrowie.

Roześmiałem się i stwierdziłem, że to przecież tylko towarzyska rozmowa.

— Ostrzegłem pana — powiedział.

— Nie bądź niegrzeczny, synu — upomniął go Horthal Wend.

— Gdybym był na twoim miejscu — rzucił Gyl mściwie w stronę ojca — nie interesowałbym się Zabo, a poza tym powinienś zwrócić większą uwagę na to, z kim się

zadajesz. — W tym momencie spojrział wymownie na Sa-grę.
— Zabo wszystko wie i wszystko, widzi.

Z przyjemnością bym szczeniakowi przyłał. Sagra wyglądała kiepsko, a Horthal Wend był wyraźnie zdenerwowany. W końcu odezwał się:

— Przestańmy mówić o Zabo, synu, i bez tego mamy wystarczająco dużo zmartwień.

Chłopak spojrział na niego z ukosa.

— To, co mówisz, jest zdradą — odezwał się do ojca.

— Dostyc, Gyl — powiedziała matka. — Na twoim miejscu nie mówiłabym takich rzeczy.

Widziałem, że Horthal Wend był coraz bardziej zdenerwowany, aż w końcu wstał i dał hasło do pożegnania.

— Tego szczeniaka powinno się otruć — powiedziałem do Sagry.

Skinęła głową.

— On jest niebezpieczny — wyszeptala. — Większość czasu spędza w domu Grunge'a i przyjaźni się z obojgiem, Grunge'm i Gimmel Górą. Myślę, że to właśnie Gimmel Góra spowodowała, że chłopak zaczął mnie o coś podejrzewać. Czy zauważyłeś, jak patrzył na mnie, kiedy mówił do ojca, że powinien uważać, z kim się zadaje?

— Rzeczywiście — powiedziałem. — Zauważyłem, ale tak bardzo bym się tym nie przejmował. To tylko chłopiec, któremu imponuje rola detektywa.

— Bez względu na wszystko, to bardzo niebezpieczny chłopiec — powiedziała. — Zabo większość informacji otrzymuje właśnie od dzieci.

Kilka dni później wyszedłem na pierwszy spacer, a ponieważ Horthal Wend mieszkał bardzo blisko mnie, postanowiłem go odwiedzić. Drzwi otworzyła mi Haka Gera. Cała tonęła we łzach, podczas gdy Horthal Gyl siedział w kącie posepny i zagniewany. Wyczułem, że najwyraźniej wydarzyło się coś strasznego, ale nie miałem odwagi zapytać. W końcu Haka Gera odezwała się szlochając:

— Przyszedłeś zobaczyć się z Wendem?

— Tak — odpowiedziałem. — Czy jest w domu?

Pokręciła głową i wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Chłopak spojrział na nią groźnie. W końcu jakoś się opanowała i wyszeptała:

— Przyszli wczoraj w nocy i zabrali go. — Spojrzała na chłopca i strach pojawił się w jej oczach, strach, wyrzut i odraza.

Robiłem wszystko, co tylko było w mojej mocy, aby ją pocieszyć, niestety bezskutecznie. W końcu wyszedłem.

Z tego, co wiem, nikt już nigdy nie widział Horthal Wenda ani o nim nie słyszał.

Nie lubię pić, ale byłem tak przygnębiony całą tą historią, że wracając do domu wstąpiłem do knajpy i zamówiłem szklankę wina. Kiedy zajmowałem miejsce przy małym stoliku, wewnątrz lokalu znajdowało się jedynie dwóch mężczyzn. Mieli twarde, niesympatyczne twarze, typowe dla kaparskich żołnierzy lub policjantów. Zauważyłem, że badawczo mi się przyglądają i coś do siebie szepczą. W końcu wstali i podeszli do mnie.

— Dokumenty — warknął jeden z nich.

Moja „winna karta” leżała obok mnie na stoliku, więc popchnąłem ją w jego stronę. Widoczne było na niej moje nazwisko, adres oraz inne dane. Wziął ją do ręki, przebiegł po niej wzrokiem i z wściekłością rzucił na stół.

— Powiedziałem: twoje dokumenty! — wrzasnął.

— Pokaż najpierw swoje — odezwałem się. — Chciałbym wiedzieć, jakim prawem chcesz wylegitymować prawomyślnego obywatela. — Z pewnością byłem nieco naiwny mówiąc przy nich o swoich prawach.

W odpowiedzi mężczyzna pokazał mi odznakę Zabo. Wtedy podałem mu dokumenty. Przejrzał je dokładnie i po chwili zwrócił.

— A więc to ty miałeś wypadek samochodowy kilka tygodni temu — odezwał się. — Na twoim miejscu był-

bym nieco uprzejmiejszy w stosunku do oficerów Zabo, w przeciwnym razie znów może ci się coś przytrafić. — W tym momencie odwrócili się i wyszli.

Z takich właśnie zdarzeń składało się codzienne życie w Ergos.

Kiedy wróciłem do domu, Danul powiedział mi, że dopiero co byli tu dwaj agenci Zabo i przeszukiwali mieszkanie. Nie wiem, dlaczego mi o tym wspomniał. Nie musiał tego robić, chyba że dostał polecenie, aby mnie sprowokować do jakichś nieprzemyślanych reakcji. A przecież wszystko, co się nie podobało Zabo, uważane było tu za zdradę kraju i karane śmiercią. Jednak sądzę, że gdyby mogli poznać moje myśli, również wydaliby na mnie wyrok śmierci.

Teraz zacząłem podejrzewać mojego nowego służącego. Zatanawiałem się, czy Lotar Canl okłamał mnie, czy po prostu nie wiedział, że Danul pracuje dla Zabo. Coraz więcej było we mnie podejrzeń. Stawałem się więc prawdziwym Kaparem. Nie ufałem nikomu. Jedyńm człowiekiem, którego tu poznałem i któremu całkowicie zaufałem, był Horthal Wend. Oni jednak przyszli w nocy i zabrali go.

Wkrótce po moim powrocie do domu przyszła Morga Sagra. Wysłałem Danula po zakupy, aby móc opowiedzieć Sagrze o Horthal Wendzie.

— To koszmarnie chłopaczysko! — wykrzyknęła. — Och, Tangor! Czy nie możemy się stąd wydostać? — zapłakała.

— Nigdy więcej nie wypowiadaj tego imienia — powiedziałem. — Czy chcesz narobić mi kłopotów?

— Przepraszam. Wypsnęło mi się. Czy naprawdę nie ma sposobu, aby stąd uciec?

— I zostać rozstrzelanym natychmiast po powrocie do Orvis? — odpowiedziałem. — Sama się wpakowałaś — przypomniałem jej. — Teraz musisz to dzielnie znosić, tak jak ja. Poza tym mnie się tutaj naprawdę podoba — skłamałem. — I za żadne skarby nie chciałbym wrócić do Orvis.

Spojrzała na mnie pytająco.

— Wybacz mi — powiedziała. — Mam nadzieję, że mnie nie zdradzisz. Och, Korvan Don, nie powtórzysz tego nikomu?

— Oczywiście, że nie — zapewniłem ją.

— Nie mogę z tym wszystkim dać sobie rady — ciągnęła. — Nie mogę. Jestem kłębkiem nerwów. Mam przeżycie, że wydarzy się coś strasznego.

Właśnie w tym momencie usłyszeliśmy walenie do

drzwi. Gdy spojrzałem na Morga Sagrę, była bliska omdlenia.

— Weź się w garść — powiedziałem idąc w stronę drzwi.

Gdy je otworzyłem, znalazłem się oko w oko z dwoma wysokiej rangi oficerami kaparskich sił zbrojnych.

— Ty jesteś Korvan Don? — zapytał jeden z nich.

— Tak, to ja — odpowiedziałem.

— Pójdiesz z nami.

No cóż, w tej sytuacji pozostawało mi jedynie pocieszenie, że nie byli to agenci Zabo. Nie miałem pojęcia, czego mogli ode mnie chcieć, ale oczywiście nie zapytałem ich o to. Od czasu, gdy znalazłem się w Ergos, wiedziałem, że w Kaparii nie należy pytać nawet o godzinę wschodu słońca.

Jechaliśmy przez zatłoczone ulice miasta z olbrzymią szybkością, aż znaleźliśmy się pod budynkiem, gdzie mieściło się biuro Pom Da. Po chwili oczekiwania zostałem zaprowadzony przed oblicze Wielkiego Pierwszego.

Pom Da od razu przeszedł do sprawy.

— Kiedy tu byłeś ostatnio — zaczął — powiedziałeś, że zanim opuściłeś świat, z którego podobno pochodzisz, pracowałeś nad konstrukcją samolotu mającego pokonać odległość do osiemdziesięciu milionów kilometrów. Jeden z naszych czołowych wynalazców pracował nad podobnym samolotem i prawie już ukończył pracę nad specjalnym wzmacniaczem mocy, dzięki któremu samoloty mogłyby latać z Polody na inne planety naszego systemu słonecznego. Niestety, uległ niedawno śmiertelnemu wypadkowi. Oczywiście badania te prowadzone były w największej tajemnicy. Autor wynalazku pracował sam. W tej sytuacji tylko on mógłby dokonać montażu eksperymentalnego urządzenia. Ale teraz nie mamy wyjścia. Ktoś inny musi to zrobić. Od czasu gdy jesteś w naszym kraju, otrzymuję bardzo pozytywne raporty na temat twojej lojalności i ucz-

ciowości. Posłałem po ciebie, ponieważ jestem przekonany, że właśnie ty najbardziej nadajesz się do ukończenia wynalazku. Oczywiście jest to zadanie ogromnej wagi i wszystko, co jest z nim związane, musi być pilnie strzeżone, aby żadne informacje nie wpadły w ręce agentów naszego wroga. Przekonałem się, że można ci ufać, a w ocenie ludzi nigdy się nie mylę. Dlatego udasz się do laboratorium i warsztatów, gdzie prowadzone były prace nad wzmacniaczem, i będziesz je kontynuował.

— Czy to rozkaz, Wasza Najwyższa Wysokość? — zapytałem.

— Tak — odpowiedział.

— A więc zrobię, co tylko będę mógł. Jednak muszę powiedzieć, że z własnej woli nigdy bym się tego zadania nie podjął, ponieważ zdaję sobie sprawę z ogromnej odpowiedzialności, jaka na mnie ciąży. Byłbym szczęśliwy, gdyby znalazł się jednak ktoś bardziej odpowiedni niż ja.

Chciałem, żeby Pom Da odniósł wrażenie, iż zupełnie nie zależy mi na tej pracy. Jednocześnie bałem się, że zauważy, jak bardzo jestem podekscytowany jego propozycją. Po tygodniach niepowodzeń i rozczarowań, bez cienia nadziei na osiągnięcie sukcesu, moja misja zostanie być może wypełniona dzięki najważniejszemu Kaparowi w tym kraju.

Wielki I, który był tak znakomitym znawcą ludzi, przekazał mi kilka ogólnych instrukcji, a następnie polecił zaprowadzić do laboratorium. Gabinet Pom Da opuściłem w towarzystwie tych samych oficerów, którzy mnie tu przyprowadzili. Teraz nareszcie zrozumiałem, dlaczego tak dokładnie mnie śledzono oraz dlaczego tak często przeszukiwano moje mieszkanie.

Gdy jechałem przez ulice Ergos, po raz pierwszy od czasu opuszczenia Orvis poczułem się naprawdę szczęśliwy. Poza tym byłem z siebie raczej zadowolony. Tak często przy różnych okazjach powtarzane przeze mnie infor-

macje o samolocie służącym do podróży międzyplanetarnych, nad którym rzekomo pracowałem na Ziemi, wreszcie przyniosły efekty. Oczywiście nigdy nie zajmowałem się tego typu samolotami. Swego czasu jedynie dosyć dużo eksperymentowałem z silnikami samolotowymi. Miałem nadzieję, że to pomoże mi nieco przy realizacji obecnego zadania.

Zawieziono mnie do niezbyt odległej i dość dobrze mi znanej dzielnicy. Laboratorium, do którego zostałem wprowadzony, znajdowało się na tyłach domu niegdyś często przeze mnie odwiedzanego. Dom ten należał do Horthal Wenda.

Cały tydzień spędziłem na uważnym studiowaniu planów oraz sprawdzaniu małego modelu i eksperymentalnego wzmacniacza, który właściwie był już bliski ukończenia. Horthal Wend sporządził obszerne notatki i z nich właśnie dowiedziałem się, że udało mu się wyeliminować w urządzeniu wszelkie usterki z wyjątkiem jednej.

Chociaż byłem pochłonięty pracą, co pewien czas miałem uczucie, że ktoś mnie obserwuje. Kilkakrotnie nawet uchwyciłem w oknie przelotne spojrzenie czyichś oczu. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Czy to Pom Da kazał mnie obserwować, czy też ktoś inny, z nieznanymi mi powodów, chce ukraść plany wynalazku?

Kłopot ze wzmacniaczem mocy Horthal Wenda polegał na tym, że zamiast skupiać, rozpraszał energię pobieraną ze słońca. W tej sytuacji, mimo że wzmacniacz byłby w stanie skierować samolot w stronę którejś z najbliższych planet, jego szybkość wciąż by malała, ponieważ odległość od centralnej siłowni na Polodzie bezustannie zwiększałaby się, a więc w rezultacie czas niezbędny do pokonania odległości miliona kilometrów między dwiema planetami byłby tak wielki, że zastosowanie wynalazku w praktyce przestałoby mieć jakikolwiek sens.

Pewnego dnia, kiedy udało mi się wreszcie rozwiązać

ten problem, tak że wzmacniacz mógł już zasilać samolot w czasie podróży na każdą odległość od Polody, ponownie zobaczyłem w oknie tę samą twarz. Postanowiłem sprawdzić, kim jest ta osoba i dlaczego tak interesuje się moją pracą. Udając, że nic nie zauważyłem, starałem się przez cały czas znajdować tyłem do okna. Gdy wreszcie dotarłem do drzwi i gwałtownie je otworzyłem, ujrzałem przy oknie Horthal Gyla z twarzą czerwoną jak burak i niezbyt mądrą miną.

— Co ty tu robisz? — zapytałem. — Ćwiczysz zno wu, czy też próbujesz wścibiać nos w tajemnice państwo we?

Horthal Gyl szybko zapanował nad sobą. Bezczelność tego drania przekraczała wszelkie wyobrażenie.

— Co ja tu robię, to nie twoja sprawa — odpowiedział zuchwale. — Może są tacy, co ci ufają, ale nie ja!

— To, czy mi ufasz, czy nie, zupełnie mnie nie interesuje — powiedziałem. — Lecz jeżeli cię tu jeszcze kiedykolwiek przy łapię, otrzymasz całe zaległe lanie, jakiego nie spuścił ci twój własny ojciec.

Spojrzał na mnie mściwie, odwrócił się i wyszedł.

Następnego dnia poprosiłem o rozmowę z Pom Da, a on natychmiast wyraził na nią zgodę. Oficerowie, którzy przyszli po mnie, oraz wszyscy inni, których spotkałem w drodze do biura Wielkiego I, byli w stosunku do mnie niezwykle uniżeni. W błyskawicznym tempie zdobywałem pozycję w Kaparii. Każdemu, kto uzyskiwał natychmiastową zgodę na spotkanie z Pom Da, kłaniano się w pas.

— Jak postępują prace? — zapytał mnie Pom Da, gdy stanąłem przed jego biurkiem.

— Doskonale — odpowiedziałem. — Jestem pewien, że ukończę prace przy wzmacniaczu, jeżeli otrzymam do dyspozycji samolot doświadczalny.

— Oczywiście. Jaki typ samolotu jest ci potrzebny? — zapytał.

— Najszybszy samolot zwiadowczy, jakim dysponujecie — odpowiedziałem.

— Dlaczego musi to być szybki samolot? — W jego głosie zabrzmiała nieoczekiwane nutka podejrzliwości.

— Ponieważ to właśnie ten typ samolotu będzie musiał być użyty w pierwszym eksperymentalnym locie na inną planetę — wyjaśniłem.

Pom Da pokiwał ze zrozumieniem głową i zwrócił się do jednego ze swych oficerów.

— Dajcie do dyspozycji Korvan Donowi szybki samolot zwiadowczy — rozkazał. — I niech wydadzą polecenie, aby mógł latać, kiedy tylko zechce. — Byłem tak szczęśliwy, że mogłbym uściskać nawet Pom Da. Po chwili Wielki I dodał: — Ale zaznaczcie również, że zawsze podczas lotu musi mu towarzyszyć oficer lotnictwa.

W tym momencie cały mój plan runął.

Wykonałem kilkanaście lotów eksperymentalnych i za każdym razem zabierałem ze sobą wszystkie plany, szkice oraz sam model. Robiłem to zupełnie otwarcie i przez cały czas lotu przeglądałem zabraną dokumentację. Chciałem dać do zrozumienia, że muszę ją mieć przy sobie, ażeby sprawdzać działanie wzmacniacza w samolocie, jak również po to, by zabezpieczyć wynalazek przed ewentualną kradzieżą podczas mojej nieobecności w laboratorium.

Nigdy w samolocie nie towarzyszył mi dwukrotnie ten sam oficer, co nie było bez znaczenia dla realizacji mojej misji. Gdyby ci faceci, którzy przez cały czas siedzieli przy mnie, wiedzieli, co planuję... Próbowałem wymyślić jakiś sposób pozbycia się ich, ponieważ tylko wówczas mogłem uciec z Kaparii.

Wzmacniacz okazał się absolutną rewelacją. Byłem pewien, że dzięki niemu samolot dotrze do każdego zakątka systemu słonecznego, lecz nikomu tego nie powiedziałem. Wciąż twierdziłem, że należy jeszcze przeprowadzić kilka

eksperymentalnych prób. Tak więc czas płynął, podczas gdy ja czekałem na okazję zabicia towarzyszącego mi oficera. To, że nigdy nie miałem przy sobie żadnej broni, bardzo mi wykonanie tego planu utrudniało.

Nie odważyłem się poprosić o broń, tego nie robi się wprost. Spróbowałem jednak zasugerować Pom Da, że dobrze by było, gdybym jakąś broń otrzymał, ponieważ kilkakrotnie widziałem przez okno laboratorium, jak ktoś mnie obserwuje. Ale osiągnąłem jedynie to, że wokół budynku zorganizowano liczną obstawę złożoną z agentów Zabo.

Od czasu gdy zacząłem pracować nad wzmacniaczem, rzadko widywałem Morga Sagrę. Sypiałem w laboratorium i wracałem do mego mieszkania jedynie po to, aby zmienić ubranie. Gdy zacząłem latać, czasami prosto z hangaru szedłem do mieszkania i wtedy zabierałem ze sobą zarówno dokumentację, jak i model. Wówczas jednak nigdy nie wychodziłem z domu, aby nie zostawiać planów bez właściwego zabezpieczenia.

Danul gotował i podawał mi posiłki, a Morga Sagra czasami dotrzymywała mi towarzystwa. Dowiedziałem się od niej, że kilkakrotnie widziała razem Horthal Gyla i Gimmel Gorę oraz że Grunge opuścił swą przyjaciółkę i przeniósł się do innej części miasta. Od pewnego już czasu Morga Sagra nie widziała go, w związku z czym czuła się znacznie bezpieczniej.

Do tej pory wszystko układało się pomyślnie, gdy nagle wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego: Morga Sagra została aresztowana.

Aresztowanie Morga Sagry nastąpiło w moim mieszkaniu. Oczywiście nie miałem pojęcia, o co ją oskarżają. Jeżeli jednak była podejrzana o cokolwiek, to ci, którzy się z nią przyjaźnili, również byli zagrożeni.

Została zabrana około siódmej wieczorem, a o dziesiątej przyszedł Lotar Canl. Był ubrany w mundur oficera sił powietrznych. Po raz pierwszy zobaczyłem go w innym stroju niż cywilny. Byłem tym nieco zaskoczony, lecz nie zadawałem żadnych pytań.

Podszedł i usiadł bardzo blisko mnie.

— Jesteś sam? — zapytał szeptem.

— Tak — odpowiedziałem. — Pozwoliłem Danulowi wyjść na kolację.

— Mam dla ciebie kilka bardzo złych wiadomości — powiedział. — Właśnie wracam z aresztu śledczego w kwaterze głównej Zabo. Trzymają tam Morga Sagrę. Ten mały potwór Horthal Gyl jest tam również. To on oskarżył Sagrę, że jest szpiegiem Unisan. Mój bardzo bliski przyjaciel powiedział mi, że ten drań oskarżył też ciebie, natomiast na mnie doniósł, że byłem z tobą i Morga Sagrą bardzo blisko związany. Poddali dziewczynę torturom, aby wyciągnąć od niej obciążające nas zeznania. Jednak ona przez cały czas twierdziła z uporem, że jest dobrą Kaparką oraz że absolutnie nie ma nic wspólnego ze szpiegostwem. W ostatniej

chwili, tuż przed śmiercią, zdradziła ciebie, chcąc uniknąć tortur.

— Co robić? — zapytałem.

— Masz samolot do dyspozycji, kiedy tylko zechcesz. Musisz uciekać i to natychmiast, ponieważ oni będą tu przed północą.

— Nie mogę skorzystać z samolotu, jeśli nie towarzyszy mi specjalny oficer — powiedziałem.

— Wiem o tym — rzekł. — To właśnie dlatego ten mundur. Lecę z tobą.

W tym momencie przyszło mi do głowy, że to mogła być pułapka. Jeżeli przystałbym na propozycję i spróbował ucieczki, tym samym przyznałbym się do winy. Pamiętałem o tym, że Lotar Canl był agentem Zabo, lecz lubiłem go i zawsze miałem uczucie, że nie muszę się go obawiać. Zauważył, że się waham.

— Możesz mi zaufać — powiedział. — Nie jestem Kaparem.

Spojrzałem na niego zaskoczony.

— Nie jesteś Kaparem? A więc kim? — zapytałem.

— Tym, kim i ty, Tangor — odpowiedział. — Tajnym agentem Unisu. Jestem tutaj już od ponad dziesięciu lat. Teraz, kiedy stałem się podejrzany, misja moja dobiega końca. Zostałem powiadomiony o twoim przybyciu i miałem się tobą opiekować. Poinformowano mnie również, że Morga Sagra zdradziła Unis. Sprawiedliwości stało się więc zadość. Otrzymała to, na co zasłużyła. Mimo wszystko to straszne, co z nią zrobili.

To, że wiedział, jak się naprawdę nazywam i jestem agentem oraz że Morga Sagra zdradziła Unis, przekonało mnie, iż mówi prawdę.

— Zaraz będę z powrotem — powiedziałem i poszedłem zebrać wszystkie plany, szkice i notatki dotyczące wzmacniacza, po czym spaliłem je. Następnie tak zniszczy-

łem model, aby żadnej jego części nie można było odtworzyć.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał Lotar Canl.

— Nie chcę, aby cokolwiek, co dotyczy wzmacniacza, wpadło w ręce Kaparów, jeśli nas złapią — powiedziałem. — Jestem w stanie odtworzyć ten wzmacniacz w każdej chwili z zamkniętymi oczami. Poza tym jego egzemplarz eksperymentalny znajduje się w samolocie, którym będziemy lecieć.

Jakie to szczęście, że swego czasu zażądałem, aby mi oddano do dyspozycji najszybszy samolot zwiadowczy. Gdy włączyliśmy silniki, jakiś oficer krzychał, abym się zatrzymał. Po chwili włączono alarm i zaczęto nas ostrzeliwać z broni maszynowej. W pościg za nami ruszyły jednocześnie samoloty z sześciu pasów startowych. Nie miały jednak żadnych szans.

Najpierw poleciliśmy do Pud, gdzie zmieniliśmy ubrania i ruszyliśmy w dalszą podróż starym karisańskim samolotem otrzymanym od Frinka. Następnie udaliśmy się do Gorvas, gdzie bardzo nam się przydała znajomość z Gompthem. Lotar Canl przedstawił mu się jako pracownik Zabo i pokazał dokumenty. Ponownie zmieniliśmy ubiór i otrzymaliśmy mój samolot. W Pud zabrałem wzmacniacz z kaparskiego samolotu, a gdy znaleźliśmy się w Orvis, bezwzględnie zaniósłem go do Eljanhai, który pogratulował mi serdecznie wypełnienia tak trudnej misji.

Kiedy tylko udało mi się wyrwać z rąk Eljanhai i Komisarza Wojny, natychmiast pojechałem do Harkasów. Na samą myśl, że za chwilę zobaczę się z nimi, poczułem się bardzo szczęśliwy, chyba nawet bardziej niż w momencie udanego zakończenia mojej misji. Don i Yamoda siedzieli w ogrodzie. Kiedy Yamoda mnie ujrzała, zerwała się nagle i pobiegnęła do domu. Don przywitał się ze mną, ale był jakiś dziwny. Tak bardzo cieszyłem się na to spotkanie,

że po tym, co mnie spotkało, nie mogłem wprost dojść do siebie. Nie prosiłem o jakiegokolwiek wyjaśnienie, ponieważ duma mi na to nie pozwalała. Pożegnałem się i wyszedłem.

Smutny i zrezygnowany powróciłem do mojego poprzedniego mieszkania. Co się stało? Co uczyniłem, aby zasłużyć na takie traktowanie przez moich najlepszych przyjaciół? Nie mogłem tego pojąć, lecz czułem się tak bardzo zraniony, że nie chciałem żadnych wyjaśnień.

Natychmiast przystąpiłem do pełnienia moich dawnych obowiązków w oddziałach lotniczych. Nigdy w życiu nie latałem tak desperacko. Bardzo często byłem o włos od śmierci, lecz widać nie była mi przeznaczona.

Nagle Eljanhai przysłał po mnie.

— Czy chciałbyś wreszcie poddać wzmacniacz decydującej próbie? — zapytał.

— Pewnie, że tak.

— A jak chcesz tę próbę przeprowadzić? — ponownie zapytał.

— Polecę na Tonos — odpowiedziałem.

Eljanhai dokonał szybko jakichś obliczeń na kawałku papieru i po chwili kontynuował:

— Zajmie to jakieś trzydzieści pięć do czterdziestu dni. To będzie bardzo niebezpieczne. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

— Tak, sir.

— Powiem, aby zgłosili się ochotnicy, którzy polecą z tobą.

— Wolałbym lecieć sam, sir. Nie ma potrzeby ryzykować utraty więcej niż jednego życia. Mnie nic tu nie trzyma. Nic dla nikogo nie znaczę i nikomu na mnie nie zależy. Jeśli zginę, nikt nie będzie po mnie rozpaczał.

— Wydawało mi się, że masz tutaj wielu przyjaciół.

— Mnie też tak się wydawało, lecz myliłem się. Naprawdę chciałbym polecieć sam.

— Kiedy chcesz wystartować? — zapytał.

— Tak szybko, jak tylko zdołam przygotować mój samolot. Będę potrzebował dużego zapasu jedzenia i picia. O wiele więcej niż w podróż dookoła świata. Nie wiadomo, jakie warunki są na Tonos. Być może przez cały czas mego pobytu na tej planecie nie będę mógł zdobyć żadnego pożywienia ani wody.

— Żądaj, czego chcesz — powiedział Eljanhai. — Zanim wyruszysz, przyjdź jeszcze do mnie.

Następnej nocy miałem już na pokładzie samolotu przygotowane wszystko, czego potrzebowałem. Samolot był również wyposażony w pilota automatycznego, tak jak wszystkie samoloty o dużym zasięgu. Mogłem, jeśli tylko chciałem, włączyć go w każdej chwili i przespać całą drogę do Tonos. Oczywiście, jeżeli potrafiłbym spać tak długo.

Byłem do tego stopnia podekscytowany perspektywą tej przygody, że z radością podejmowałem każdą pracę, która mnie do niej przybliżała. Lecz kiedy powróciłem do mojej kwatery tej ostatniej nocy, która być może okaże się ostatnią nocą na Polodzie, znowu ogarnęło mnie przygnębienie. Nie mogłem myśleć o niczym innym, tylko o przywitaniu, jakie mi zgotowali Harkas Don i Yamoda — moi najlepsi przyjaciele. Pod wpływem tych wspomnień łzy napłynęły mi do oczu, chociaż starałem się je powstrzymać za wszelką cenę. Było to jednak silniejsze ode mnie.

Miałem właśnie rzucić z siebie mundur i położyć się spać, gdy usłyszałem pukanie do drzwi.

— Wejść! — powiedziałem.

Drzwi otworzyły się i wszedł jakiś oficer. Z początku go nie rozpoznałem, tak bardzo zmienił się od czasu naszego ostatniego spotkania. To był Handon Gar.

— A więc uciekłeś — odezwałem się. — Bardzo się cieszę.

Przez moment stał, patrząc na mnie w milczeniu.

— Nie wiem, co powiedzieć — zaczął. — Wyrządziłem

ci straszną krzywdę i dopiero dziś dowiedziałem się prawdy.

— Nie rozumiem.

— Myślałem, że jesteś zdrajcą i tak też ogłosiłem, gdy wróciłem do Orvis. Kiedy tu ponownie przybyłeś i nie zostałeś aresztowany, nie mogłem tego pojąć. Doszedłem więc do wniosku, że tajna policja chce cię wykończyć psychicznie i zmusić do samobójstwa.

— A więc to ty powiedziałeś Harkas Yamodzie? — zapytałem.

— Tak. To była największa krzywda, jaką mogłem ci wyrządzić. W ten sposób zraniłem nie tylko ciebie, ale również ją i Dona. Byłem już u Harkasów i powiedziałem im prawdę. Właśnie stamtąd wracam. Proszę, żebyś ich odwiedził dzisiejszego wieczora.

— Skąd znasz prawdę? — zapytałem.

— Dowiedziałem się wszystkiego od Komisarza Wojny. Był ogromnie zaskoczony, że ty nikomu nic nie powiedziałeś.

— Nie otrzymałem pozwolenia. Byłem wciąż tajnym agentem.

Kiedy znalazłem się u Harkasów, przez chwilę nikt nie mógł wypowiedzieć ani słowa. W końcu Don i Yamoda poprosili mnie o wybaczenie. Yamoda miała w oczach łzy, które spływały jej po policzkach. Przez jakiś czas rozmawialiśmy o moich przygodach w Kaparii. Później Don i Han-don Gar weszli do domu, pozostawiając mnie i Yamodę zupełnie samych.

Przez chwilę siedzieliśmy w kompletnej ciszy. Wreszcie Yamoda odezwała się.

— Morga Sagra... Czy była bardzo ładna?

— Szczerze mówiąc, nie wiem — odpowiedziałem. — Myślę, że wyglądała atrakcyjnie, lecz ja byłem zbyt zajęty, aby o niej myśleć. Zawsze była dla mnie tylko i wyłącznie kumplem. Poza tym wiedziałem, że zdradziła Unis, a mnie

zdrajca nigdy nie może się podobać. Tym bardziej, że w pamięci miałem kogoś znacznie piękniejszego.

Spojrzała na mnie tak, jak gdyby chciała zabytać, kogo mam na myśli. Jednak nie zdążyłem jej tego wyjaśnić, bo właśnie w tej chwili do ogrodu weszli Handon Gar i Don, przerywając naszą rozmowę.

— Co to ma znaczyć? Podobno pojutrze wyruszasz na jakąś wyprawę? — powiedział Don.

— Jaką znowu wyprawę? — zapytała Yamoda.

— On ma zamiar polecieć na Tonos.

— Żartujesz — powiedziała Yamoda.

— I ty tak uważasz, Tangor? — zwrócił się do mnie z pytaniem Don.

Potrząsnąłem głową

— On nie żartuje.

Następnie powiedziałem im o wzmacniaczu, który udoskonaliłem, oraz o tym, że Eljanhai pozwolił mi wykonać ten lot.

— Ale nie sam, Tangor! — krzyknęła Yamoda.

— Oczywiście, że sam — odpowiedziałem.

— Och, proszę, jeśli już musisz lecieć, weź kogoś ze sobą — powiedziała błagalnym głosem. — I czy naprawdę musisz lecieć?

— Mój samolot jest już do tej wyprawy przygotowany. Ruszam jutro rano — odpowiedziałem.

Handon Gar prosił, by mógł polecieć ze mną. Powiedział, że otrzymał pozwolenie na lot od Komisarza Wojny, jeśli się na to zgodzę. Don oświadczył mi, że chętnie by poleciał, ale dostał inne ważne zadanie.

— Nie widzę powodu, dla którego więcej niż jedna osoba miałaby ryzykować własnym życiem.

Jednak Yamoda wciąż mnie błagała, abym wziął ze sobą Handon Gara. On również prosił, i to tak przekonywająco, że w końcu uległem.

Tej nocy, żegnając się z Yamoda, pocałowałem ją. I to

był nasz pierwszy pocałunek. Do tej pory była dla mnie jakby ukochaną siostrą. Teraz stała się kimś znacznie ważniejszym.

Jutro Handon Gar i ja lecimy na Tonos — planetę oddaloną od Polody o dziewięćset sześćdziesiąt tysięcy kilometrów.

Notka od wydawcy

Zastanawiam się, czy Tangor kiedykolwiek dotarł do tej małej planety, obiegającej dziwne słońce, oddalone o czterysta pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych. Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek się tego dowiem.

Edgar Rice Burroughs (1875—1950), pisarz amerykański, któremu światową sławę przyniósł cykl opowieści o Tarzanie. Po ukończeniu Michigan Military Academy służył krótko w Amerykańskiej Kawalerii, potem wykładał w tejże akademii, był policjantem drogowym, właścicielem sklepu z materiałami piśmieniowymi, udziałowcem w licznych interesach, kierownikiem działu stenograficznego w Sears Roebuck Company itd. aż do roku 1913, kiedy zdecydował się na karierę pisarską po udanym debiucie i pierwszych odcinkach *Tarzana wśród małp* (magazyn *All--Story*, październik 1912).

Debiutował w lutym 1912 roku sześcioodcinkową opowieścią „Under the Moons of Mars” na łamach *All--Story*. Pierwszą książkę wydaje ERB w 1914 roku. Jest nią tom 1 cyklu o przygodach Tarzana, chłopca wychowanego przez afrykańskie małpy. Na cykl ten składają się 24 książki (w Polsce wydano zaledwie 10, a wszystkie przekłady pochodzą z okresu międzywojennego), wielokrotnie wykorzystywane jako materiał do filmów, komiksów itp. *Księżniczka na Marsie* (zmieniona i rozszerzona wersja utworu „Under the Moons of Mars”) została wydana dopiero w 1917 roku, a pierwszy z trzech polskich przekładów pojawił się 10 lat później (następne noszą tytuły: *Córka Marsa i Księżniczka Marsa*). Tom drugi nosi tytuł *The Gods of Mars* (1918; w przygotowaniu wydanie ALFY), następne to: *The Warlord of Mars* (1919), *Thuvia, Maid of Mars* (1920), *The Chessmen of Mars* (1922), *The Master Mind of Mars* (1928), *A Fighting Man of Mars* (1931), *Swords of Mars* (1936), *Synthetic Men of Mars* (1940), *Liana of Gathol* (1948). Ostatni, jedenasty tom cyklu, *John Carter of Mars* (1964) jest częściowo autorstwa syna ERB, Johna Colemana Burroughsa, i zawiera dwa długie opowiadania: „John Carter and the Giant of Mars” (1943) i „Skeleton Men of Jupiter” (1943); to ostatnie miało być początkiem nowego cyklu. Cykl marsjański jest tasiemcowatą przygodą, której akcja toczy się w nierealnej krainie, pełnej egzotyki, niebezpieczeństw, pięknych jajorodnych dziewcząt, zielonych ludzi o sześciu ramionach, i ona także podbiła serca czytelników na całym świecie. Trzecim ważnym cyklem ERB jest „Pellucidar”, liczący 7 tomów: *At the Earth's Core* (1922), *Pellucidar* (1923, *Pellucidar*), *Tanar of Pellucidar* (1930), *Tarzan at the Earth's Core* (1930), *Back to the Stone Age* (1937), *Land of Terror* (1944) i *Savage Pellucidar* (1963). Tym razem pomysł opiera się na dziewiętnastowiecznej bardzo niegdyś popu-



Edgar Rice Burroughs

larnej teorii Johna Clevesa Symmesa, która zakłada, że Ziemia ma puste wnętrze z małym słońcem w centrum i otworami na biegunach. Pomysł ten wykorzystywało wielu autorów, m.in. Juliusz Verne i Władimir Obruczew. Kolejnym cyklem jest wenus-jańska przygoda licząca 5 tomów, a jej bohater nosi nazwisko Carson Napier: *The Pirates of Venus* (1934), *Lost on Venus* (1935), *Carson of Venus* (1939), *Escape on Venus* (1946) i *The Wizard of Venus* (pierwodruk 1964 w tomie *Tales of Three Planets*, wydanie pod właściwym tytułem razem z niefantastyczną mikropowieścią „Pirate Blood” 1970). Trzyczęściowa historia księżycowa (wizyta na Księżycu oraz inwazja Selenitów na Ziemię) to *The Moon Maid* (1926, inny tytuł: *The Moon Men*; edycje paperbackowe, dwutomowe, noszą kolejno oba powyższe tytuły i zawierają pełny tekst drukowany pierwotnie w magazynie *All-Story*). Pozostałe książki fantastyczne ERB w kolejności alfabetycznej: *Poza najdalszą gwiazdą* (1964), *Beyond Thirty* (1955, inny tytuł: *The Lost Continent*), *The Cave Girl* (1925), *The Eternal Lover* (1925, inny tytuł: *The Eternal Savage*), *Jungle Girl* (1932, inny tytuł: *Land of Hidden Men*), *The Lad and the Lion* (1938), *The Mad King* (1926), *The Man-Eater* (1955), *The Monster Men* (1929).

Aczkolwiek trudno nazwać ERB pisarzem oryginalnym czy głębokim, pozostaje faktem, że jego utwory fascynują i pobudzają wyobraźnię do dziś — choć teraz czytają go prawie wyłącznie ludzie bardzo młodzi. Fenomen ponadczasowej popularności zawdzięcza ERB oderwaniu się od realiów społeczno-politycznych, sprawnej narracji i instynktowi rasowego „pokrzepiacza serc”. Zapewne może poszczycić się większą liczbą naśladowców niż jakikolwiek inny autor fantastyki. Piewcy „marsjańskiej romantyki”, Leigh Brackett i Ray Bradbury, zawdzięczają mu niemało. Irwin Porges, *Edgar Rice Burroughs: The Man Who Created Tarzan* (1975), John Flint Roy, *A Guide to Barsoom* (1976), Philip Jose Farmer, *Tarzan Alive* (1972), Richard A. Lupoff, *Edgar Rice Burroughs: Master of Adventure* (1965, 1968) — to tylko kilka z wielu książek poświęconym jemu i jego twórczości.